Nr. 49. Warszawa, dnia 8 Grudnia (26 Listopada) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Zórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Z powodu zaślubin Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana Mikołaja II-go z Jej Cesarską Wysokością Wielką Księżniczką Aleksandrą Teodorówną, wydany został Najwyższy Manifest ku zbudowaniu i pocieszeniu ludu, zawierający łaski, dotyczące ulg co do zaległych podatków i należności skarbowych, darowania grzywien, oraz skrócenia kar za przestępstwa ogólno-kryminalne i polityczne.

Urzędowe wydawnictwo p. t. „Zbiór ustaw Wielkiego Księztwa Finlandzkiego“ (nr. 40 za rok bieżący) zamieszcza następujące dokumenty:

I.

NAJWYŻSZY MANIFEST

JEGO CESARSKIEJ i WIELKOKSIĄŻĘCEJ MOŚCI

MIKOŁAJA II-go

do wszystkich mieszkańców Wielkiego Księztwa Finlandzkiego.

Dan w Liwadyi d. 6 listopada (25 października) 1894.

Z BOŻEJ ŁASKI

MY, MIKOŁAJ II,

Cesarz i Samowładca Wszechrosyjski,

Wielki Książę Finlandzki

etc. etc. etc.

Wiadomo czynimy:

Wszedłszy z woli Najwyższego w odziedziczone posiadanie Wielkiego Księztwa Finlandzkiego, uznaliśmy za właściwe niniejszem na nowo potwierdzić i umocnić religię i ustawy podstawowe kraju, jako i prawa i przywileje, które każdy stan wymienionego Wielkiego Księztwa w szczególności i poddani mieszkańcy tego kraju w ogólności, wysocy i nizcy, wedle urządzenia tego kraju dotychczas używali i obiecujemy wszystkie te przywileje i ustawy stale i bez zmiany w swojej mocy i wartości zachować.

Liwadya, d. 25 października 1894.

MIKOŁAJ.

Minister sekretarz stanu
W. v. Daehn.

II.

Najwyższy Reskrypt

JEGO CESARSKIEJ MOŚCI CESARZA i WIELKIEGO KSIĘCIA

MIKOŁAJA II-go

z powodu Najwyższego Manifestu do mieszkańców Finlandyi.

Dan w Liwadyi d. 6 listopada (25 października) 1894.

Naszemu generał-gubernatorowi Finlandyi

Potwierdziwszy w Najwyższym Manifeście z dnia dzisiejszego urządzenia, które przez błogosławionej pamięci Dostojnych Przodków Naszych Wielkiemu Księztwu Finlandzkiemu zostały udzielone, uczyniliśmy to z serdecznem upodobaniem, pomni licznych dowodów niezmiennej uległości i wdzięczności mieszkańców tego kraju dla ich bezustannie o ich dobro dbających Władców.

Rozkazujemy Panu podać to do wiadomości wszystkim Naszym finlandzkim wiernym poddanym.

Liwadya, d. 25 października 1894.

MIKOŁAJ.

Minister sekretarz stanu
W. v. Daehn.

Od Redakcyi.

Mamy nadzieję, że abonenci ***Prawdy,*** *między którymi znajduje się spory zastęp jej przyjaciół stałych od lat czternastu, okażą nam również swoje życzliwe poparcie w roku następnym. My ze swej strony dołożymy możliwych starań, ażeby pismo nasze utrzymać na poziomie organu poważnego, krytycznego, wiernie odzwierciedlającego rozwój życia i myśli ze sprawiedliwą oceną jego objawów, uwydatniającego stale i umiejętnie to, co posiada istotną i trwałą wartość zarówno dla ludzkości, jak i dla naszego społeczeństwa.*

W roku przyszłym między innymi poznają czytelnicy poemat dramatyczny prozą

A. ŚWIĘTOCHOWSKIEGO

p. t.

DUCHY.

Składa on się z sześciu osobnych utworów, połączonych wspólną ideą; z tych trzy pierwsze: I. Alrun, II. Moronowie i III. Zwiastun, wydrukujemy w odcinku ***Prawdy.***

POLITYKA.

W MĘTACH.

Zawrzało w Paryżu. Pod mundurem obrońcy kraju, bo oficerskim, odkryto zdrajcę, który jednemu z rządów ościennych sprzedawał najważniejsze tajemnice sztabu francuskiego. Zatrwożone władze wytropiły niebawem jeszcze większe sprzysiężenie przeciwko ojczyźnie. Popłoch i oburzenie jeszcze nie przeszły, a już opinię publiczną zaalarmowała inna sprawa, może skandaliczniejsza. Wykryto, że redakcye paryskie trudnią się szantażem na wielką skalę, bo nakładają bezwstydny okup na szulernie, kluby i tp. instytucye, w których bywa niekiedy zbyt hałaśliwie; w razie zaś oporu, grożą ogłoszeniem skandalów i ostrzeganiem rodaków przed sidłami, rozstawianemi przez te czcigodne zakłady. Ktoś ze skubanych, któremu wreszcie zabrakło cierpliwości, zwrócił się na drogę sądową przeciwko rzezimieszkom w todze dziennikarskiej. Portalis, jeden z bardziej

poważanych i wybitniejszy z publicystów Paryża, tak się unurzał w brudzie nadużyć, że uznał za najstosowniejsze zbiedz przed ręką sprawiedliwości. Wkrótce posypały się nowe odkrycia: błoto, wydobywane przez sędziego śledczego, plugawi coraz szersze koła dziennikarskie, a kogo dosięgnie, nie wiadomo jeszcze. Zatem wszędzie sprzedajność i zepsucie: łapówka wżarła się tam i rozgościła, gdzie wzmianka o niej jest już hańbą istotną! Mężowie stanu zapominają, co winni są swemu imieniu i piastowanej godności i za złoto sprzedają swoje wpływy wraz z głosami mataczom spekulacyi panamskiej. Oficerzy, którzy, zdawałoby się, w świeżej jeszcze pamięci muszą mieć rany, zadane ojczyźnie przed laty 25, sromotnie frymarczą tajemnicami i z tego nikczemnego handlu czerpią środki na szulerkę i zapłatę nierządnicom za ich wdzięki. Kierownicy dzienników, przypominających ogółowi bezustannie, iż stoją na straży obyczajności rodzinnej, łączą się w szajkę zbirów i doradzają skubanym szulerniom, ażeby spólnie opłacały koszty zamknięcia potoku gadatliwości publicystycznej!

Materyału jest tyle, że moglibyśmy głęboko zajrzeć w tę cuchnącą ciemnię honoru i patryotyzmu. Jeden z dzienników paryskich opowiada o tych kryjówkach i jaskiniach, w których oficer francuski zapomina o swojej godności. Istnieje rozgałęziona matnia, na to obliczona, ażeby zarzucała swoje sidła na upatrzoną zwierzynę. Są salony, urządzone z komfortem i smakiem — przedsionki, prowadzące do hańby. Ktoś, wybrany na ofiarę, spotyka tam przyjemnych współbiesiadników, którzy czyhają na każde jego słówko i niby niechcący, umieją go tak zażyć, że sam nawet nie wie o tem, kiedy po raz pierwszy zdradził tajemnice swojej ojczyzny. Jest to krok pierwszy na ślizkiej drodze, prowadzącej ku otchłani spodlenia.

„Istnieje w Paryżu—spowiada się w łamach *Figara* wyższy urzędnik z ministeryum wojny — całe towarzystwo kosmopolityczne, utrzymywane z funduszów obcych. Zapomogi te bywają rozdzielane w sposób mniej lub więcej brutalny, stosownie do rangi i wartości osoby wynagradzanej. Ku schyłkowi miesiąca nie każdy udaje się do kasy, ażeby zrealizować tam czek pospolity. Dyplomaci posiadają sposoby wyśmienite podziękowania komuś namacalnie za usługi, chociaż nie będzie tam pozorów zapłaty w formie gminnej, grubiańskiej. Zawsze idzie ostatecznie o pieniądze, ale mogą one w pewnej obsłonce posiadać woń mniej rażącą, niekiedy zaś stają się zupełnie bezwonnymi. W takie towarzystwa wpadają francuzi, nawet mężowie stanu, nie spostrzegający matni. Wszystkie środki są dobre, które mogą ich zwabić: gra i kobiety. Przedsiębrano wszelkie ostrożności, byleby tajemnicę utrzymać. Większość szpiegów przyjęła poddaństwo, ci zaś, którzy nie zdołali uzyskać naturalizacyi, rzucają się z tem większą czelnością. Niektórzy z nich, zresztą nienależący do najniebezpieczniejszych, z zamiłowaniem wyświadczają usługi temu lub innemu oficerowi albo urzędnikowi. Posiadają otwartą rękę, w której bez zachodów można namacać tysiącofrankówkę. Mamy w Paryżu około stu szpiegów, którzy otrzymali naturalizacyę, a z których paru potrafiło zająć stanowiska wpływowe podczas wypadków politycznych.“

Jest to jeden z obrazków, przedstawiających nam niezliczone sidła na zwierzynę lekkomyślną. Jaskinia złoconego nierządu, szulernie, kąpiące się w odorze absyntów, papka, przyrządzona smacznie, wreszcie „żółte, błyszczące, marne złoto,“ jak powiada Shakespeare, oto grunt, na którym hańba dojrzewa, i podniety, które przyspieszają jej rozwój. Frymark ogarnia szerokie koła, ludzie, zajmujący najbardziej poważane nazwiska, nie sromają się iść w ślady zbirów i oszustów. Błoto tryska z każdego wiersza tych odkryć. Ale nie bądźmy pośpieszni we wnioskach i nie rzucajmy gromów na ten kraj biedny, który doczekał się takich wyrodków i przekupniów. Nie dzisiaj oni przyszli na świat i nie od dzisiaj datuje się owo spodlenie. Cała epoka Badingueta jest stekiem podobnego kału, zakończona łuną pożogi wojennej i zgliszczami Paryża. Nie rzucajmy na głowę jednych synów Francyi potępienia za ów bezwstyd, frymarczący ojczyzną i honorem. Łapówki dziennikarskie nie są wynalezione przez Protalisa. Posiadają one nawet nazwę specyalną: *Schweiggeldów*, która zrodziła się w grodzie naddunajskim i swojem brzmieniem odrazu zdradza rodowód. Nie! ów rak, który toczy Francyę, gnębi też inne narody, tylko że nie zawsze otwiera on swoje brudy i nie wszędzie sączy się widomie. Nawet ojczyzna Dreyfusów i Portalisów jest jeszcze zdrowsza. Bo trzeba zaisto zdrowia, ażeby mieć odwagę i siłę dla wyprowadzenia na jaw podłości panamskiej, ażeby sprawy szantażu dziennikarskiego nietylko nie przygłuszyć, lecz owszem postawić ją pod pręgierz pogardy wszechświatowej! Wiedeń swego czasu na to się nie zdobył.

Ż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po kwestyi kościelno - politycznej w parlamencie węgierskim na porządek dzienny wysunięto sprawy ekonomiczne. Nowy minister rolnictwa, hr. Festetits, zaznaczył, że ogólne niepowodzenie wynika obecnie z nizkich cen zboża i innych produktów, ale przesilenia nie należy się obawiać. Klęska dotyka całą Europę; dla zaradzenia złemu minister podaje następujące środki: podniesienie produkcyi, ulepszenie roli, zniżenie cen nawozów sztucznych, zakupno lepszych gatunków zboża, popieranie fabryk, wyrabiających maszyny rolnicze, przekształcenie kredytu przez założenie silnej centralnej instytucyi finansowej. Dla poparcia interesów ziemiańskich rząd przedstawi projekt ubezpieczenia bydła na wypadek zarazy, sposoby udoskonalenia hodowli, uprawy winnic i regulacyi rzek. Są to wszystko ważne środki, których urzeczywistnienia ludność miejscowa oczekiwać będzie z niecierpliwością. Żywiej atoli patryotów węgierskich interesują inne sprawy. Niepokoją ich rumuni, którzy w Hermansztadzie wybrali tajny komitet dla utrzymywania stosunków między rodakami za granicą. Nadto, wszystkie inne narodowości, zamieszkujące Węgry, zamie-

---

3)

Jan Reibrach.

TRUCIZNA

Szczegóły sprawy nagromadzały się coraz liczniej. Pobudki, których nigdy nie chciał znać, wyznania, które pełen szacunku dla bronionej kobiety, wstrzymał na jej ustach, wracały dziwnie zachowane w ukrytych składkach pamięci; i ponieważ właśnie nie były ujawnione, stały się bardziej niepokojącemi, prawie strasznemi.

Trawiła go żądza rozpatrzenia tego wszystkiego, po latach, bez obłędu, namiętności. Papiery w tym przedmiocie przyciągały go. Chciał je studyować, spodziewając się, że albo zwątpienia swoje ustali, albo rozproszy je i zdobędzie dawną wiarę.

Zdecydował się. Wyszukał zakurzony stos dokumentów, rzucił na stół, otworzył. Serce biło gwałtownie. Zaczął czytać, jak gdyby po raz pierwszy. Postanowił być bezstronnym.

Wówczas właśnie stał się niesprawiedliwym. Sprawiało mu przyjemność znajdować w obojętnych miejscach potwierdzenie niepokojów. Zahypnotyzował siebie. Cierpienia rodzące się wzrosły. Szukał chciwie i ujrzał kobietę odartą ze złudzenia, przedtem nie widzianą. Histeryczkę o niezaspokojonem sercu i mózgu, której zawsze czegoś brak, żądną namiętności, w swych pragnieniach niecofającą się przed niczem. Jego wiara była wstrząśnięta. Po zniszczeniu aureoli, po zdeptaniu osłonek piękna, wdzięku, tkliwości, był krok do przypisania rozmyślnej zbrodni.

Zeznania świadków wydały mu się teraz jedynie prawdziwemi, rekwizytoryum prokuratora jedynie szczerem. I nie śmiał spojrzeć na swą obronę. Wstydził się jej, wyrzucał ją sobie. Jak mógł tak sam siebie oszukiwać!

* * *

I życie stało się teraz milczącem, ciężkiem, oboje kryli się we własnych myślach, ona zdruzgotana, on bez tkliwości, udający obojętność.

Nie chciał rozwodzić się. Rozwód byłby wyznaniem jego obłędu, fatalnej omyłki. Czuł się przykutym do żony jak do łańcucha.

Wnet myśli posunęły się dalej. Ponieważ jego żona nie kochała go ani teraz, ani przedtem, więc kogo kochała? Była wciąż smutna i strapiona, zatem snać nikogo. Miłość byłaby ją uspokoiła, odświeżyła. Nie, zazdrość była w tym wypadku zupełnie nieuzasadnioną. Ale odpowiadała jego nastrojowi. Zapewne jakiś stosunek niedoszły do skutku. Zaczął oglądać się, czuwać nad służącą, wracał w niezwykłych godzinach z sądu, zdawał sobie sprawę z przechadzek żony, śledził, gdy szła do kościoła.

I naraz wspomnienie go uderzyło, nagłe, wspomnienie dawnego kochanka. Ślad po nim zatarł się, podobno nie żył. To nie prawda! Musiał być w Paryżu, blizko; odnalazł ją, kochali się jeszcze. Nigdy od ślubu nie mówili o tym człowieku. On wierzył, że żona nim gardzi, nienawidzi go, bo omal jej nie zgubił i uciekł. Dziś to twierdzenie zdawało mu się naiwnem. Nie tak łatwo uwolnić się z pod wpływu człowieka, który aż do zbrodni mógł popchnąć. Ten kochanek miał ją wciąż w ręku, może drżącą, niechętną, ale pokonaną.

Tym razem wpadł na ślad. Na pewno. To wybornie tłomaczyło kobietę. Jej niewyraźność, utarczka woli jej i kochanka, smutek—obawy o przyszłość. Przygnębienie—walka, w której uległa. Przeląkł

rzają odbyć kongres. Nie daje to spać spokojnie jednemu z deputowanych. Pasmandy'emu, więc zażądał przeciwdziałania odpowiedniego.

W Rzymie ogłoszono już urzędowo dekrety, wprowadzające zmiany w organizacyi wojskowej. Między innemi postanowiono rozwiązać pięć pułków artyleryi, przeznaczonej do fortec, tudzież czternaście zarządów terytoryalnych, skasować sześć zakładów artyleryjnych, szkoły kadetów, pięć sądów wojskowych, parę posad generalskich itd. Ogółem traci miejsce około 1,300 osób, cała zaś reforma przyniesie $7\frac{1}{2}$ mil. fr. Odebrać jednak posady kilkunastu setkom ludzi nie jest rzeczą łatwą. Otrzymają oni czas do „uregulowania interesów," co im zapewne da możność poruszenia wszelkich środków przeciwdziałania zmianom.

Smutne wypadki w Armenii zwróciły uwagę Europy na ten zakątek za morzami i górami, głęboko ukryty przed wzrokiem świata. Stykają się tam ze sobą kurdowie i ormianie, dwa sprzeczne żywioły. Ci ostatni, spokojni, uskarżają się. iż rząd turecki nie może obronić ich przed napaściami sąsiadów. Turcya zaś twierdzi, iż kurdów chce zmusić do regularnej służby wojskowej i oto ci terminatorowie militaryzmu Wysokiej Porty ćwiczą się na karkach ormian. Ten jeden szczegół nieco wyświetla sprawę; ale dużo tam jeszcze pozostaje w ukryciu tajemnic okrucieństwa i nadużyć przedstawicieli porządku tureckiego. Potrzebę pewnego hamulca w tej mierze Europa oddawna odczuła, a więc na kongresie berlińskim 1878 r. zobowiązano Turcyę do wprowadzenia ładu, jednocześnie mocarstwa zastrzegły sobie prawo wglądania do tej gospodarki. Jak owe zobowiązania są wypełniane, najlepiej dowodzą obecne wypadki. Spodziewać się należy, że dziś na drodze dyplomatycznej państwa europejskie zechcą odświeżyć w pamięci rządu tureckiego zapomniane szczegóły kongresu.

Okazuje się, iż daremne były próby spopularyzowania we Francyi wyprawy madagaskarskiej. Pomimo nieustannego gardłowania, trąbienia prasy, serca ogółu nie zabiły gorąco do tego aktu powinności patryotycznej i honorowej. Przeciwnie — grupa opozycyjna z nieubłaganą trzeźwością wytyka omyłkę rządu, której nawet nie można usprawiedliwić koniecznością. Ale stało się i cofać rozpoczętych kroków niepodobna. Wyprawa musi przyjść do skutku, tem bardziej, że o ile nie odczuł jej naród francuski, o tyle stała się ona popularną śród howańczyków, rozgrzała im wszelkie uczucia i namiętności. Królowa wyspy wydała manifest, przyjęty gorąco przez ludność, gotową do zaciekłej obrony.

Na dalekim wschodzie walka trwa ciągle; japończycy, zagrzani powodzeniem, posuwają się bezustannie naprzód, a zgnębieni chińczycy, mówią przez Europę o pokoju. Według depeszy czwartkowej, oświadczyli oni gotowość zapłacenia Japonii takiej kontrybucyi, jaką oznaczą mocarstwa, które zawarły z nimi traktaty handlowe. Na ten cel zwyciężeni zaciągnęliby pożyczkę złotą $4\frac{1}{2}\%$, zabezpieczoną dochodami celnymi. Anglia podobno już pośredniczy w wyjednaniu sumy potrzebnej.

W Belgradzie komisya, złożona z dziekana wydziału prawnego i dwóch profesorów, odbyła śledztwo przeciw studentom, którzy zelżyli i wyrzucili za drzwi profesora Andrę Dżordżewicza (byłego członka ministeryum Nikołajewicza). Wyrwano mu rewolwer, którym chciał się bronić. Wydalono 40 winnych, 15 skazano na areszt.

Spory o Morskie Oko w tej chwili przedstawiają się korzystniej dla Węgier. Archeolog Münnich na podstawie badań archiwalnych dowodzi, że grunty sporne należały do Węgier już w r. 1334. Według tradycyi silnie zachowanej, Dunajec i Białka mogą stanowić w tej okolicy granicę naturalną. Aż do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia sporu przez rządy lub sąd polubowny, oddano z urzędu terytorya sporne w posiadanie Węgier.

W Berlinie rada związkowa przyjęła projekt prawa, skierowanego przeciw knowaniom antipaństwowym.

— Turcya gromadzi znaczne wojska w Albanii dla rozbrojenia ludności miejscowej.

— Hertz sprzedaje cały majątek we Francyi dla zapłacenia długu panamskiego.

LITERATURA I SZTUKA.

LTERATURA FRANCUSKA.

Anatole France: Le Lys Rouge.

France jest największym artystą śród współczesnych pisarzów francuskich, a każde jego nowe dzieło prawdziwą ucztą dla smakoszów słowa.

Rozwój tego umysłu odbywa dziwne etapy.

W „Désirs de J. Sirven" przedstawia nam swą młodość, studenta-poety, skazanego na wszystkie poniżenia nędzy. Jego gorycz wylewa się w namiętnych skargach, które zamieniają się ostatecznie w czyn: bohater ginie na barykadach. France później żałował zbytniej surowości i namiętności swych poglądów na świat; przytępił nawet ostrze wyrzutów, skierowanych przez Sirvena przeciw społeczeństwu, w ostatecznej redakcyi powieści.

Bądź co bądź w następnej, „Le Crime de Silvestre Bounard," znajdujemy już pogodzenie się z losem i pokorę, dawniejsze bunty zamieniły się na czułą ironię. Może jednak ta zgoda z losem nie była tak głęboka, jakby się zdawać mogło, gdyż od tego czasu czuć jak gdyby kruszec jego serca był pęknięty, porysowany, czuć głuchą skargę, która się przedziera poprzez znużenia spracowanej myśli. Nie, France nie jest pogodzony z losem, on nie zapomniał urazy swej młodości. Ale natomiast utracił wiarę w ludzi i ideały, które mu niegdyś może były gwiazdą przewodnią. Dlatego też zagłębia się obecnie coraz dalej w bezgraniczny nihilizm, nie w dziedzinach polityki, które go mało interesują, lecz w filozofii. Jego bezbożność i złośliwość rosną z dniem każdym. „Les opinions de Jérôme Coiguard" są najradykalniejszym katechizmem sceptycyzmu, jaki kiedykolwiek był wygłoszony. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności jednocześnie z bezbożnością myśli rośnie w nim religijność wyobraźni.

Jest w tem po części zamiłowanie prostoty, charakteryzujące zazwyczaj duchy złożone, ale głównie—pokrewieństwo celów i dążeń. Protest France'a przeciw tyranii społecznej, datujący się z czasów jego młodości, znajduje pośrednie i boczne ujście w lubowaniu się mistycyzmem, który wszakże jest protestem przeciw światu, jakkolwiek z innego punktu widzenia. Nareszcie jest artystyczny smak bluźnierstwa w tem zamiłowaniu towarzystwa świętych i mistyków, gdzie najlepiej się ćwiczy szatański smak wątpienia i przeczenia.

Hrabina Martin i artysta Dechartre, główne osoby nowej powieści, mają ten sam kierunek myśli i smak i chętnie spędzają czas w kościołach. Bohaterce autor nadaje rysy swego nihilizmu.

— Tak, moralność, obowiązek!... Ale licho wie, gdzie odnaleźć ten obowiązek. Zapewniam pana, iż nie wiem, gdzie on istnieje.

---

się. Ogarnęła go trwoga przed nieznanem. Ten człowiek niewidzialny napełniał go obawą, jak ulica czarna, pusta, gdzie czatują rabusie.

Tak, niebezpieczeństwo nieokreślone, ale pewne groziło mu. Nie śmiał rozmyślać, ale podobieństwo położenia Morisseta i jego było widoczne. Tamten otruty; co z nim będzie? Żona jego oszukuje, jak tamtego. Więc?...

Pewnej nocy musiał wstać, bo był niezdrów. Zaziębił się, wiedział o tem. Ale podejrzenie go opanowało i włosy stanęły na głowie. Po chwili uznał swą myśl za obłąkaną. Drwił z siebie, omal nie przyszedł do żony i nie wyznał jej, że jest niesprawiedliwym. Nazajutrz jednak spojrzawszy w zwierciadło, przyznał sobie, iż wygląda źle i opadł z ciała. Wyliczył ostatnie bezsenności, brak apetytu; okazało się, iż wszystko jest już dość dawnem, że rozpoczęło się prawie równocześnie z obudzeniem niepokojów. Spostrzegła je, stąd stał się niewygodnym...

Codzień nowe przebłyski. A jaką była żona podczas ostatniego procesu. Z jaką gorączką i skrycie czytała szczególiki. Uczyła się bezwątpienia, powtarzała dawną lekcyę, porównywała swe błędy w wykonaniu zbrodni z błędami drugiej. Przerażona ostatnim wyrokiem, zabiera się teraz do rzeczy ostrożniej. Truje go zwolna.

Gdy widział ją czasem wesołą, bladł, bo oto cieszyła się, iż dobrze idzie.. Zamyślona więc układała nowe sposoby. Smutna—zatem rezultaty były zbyt nieznaczne, a *ów* naglił...

Pewnego dnia, żartując niby, spytał:

— Jak nazywa się ten, no wiesz, twój kochanek?

Zbladła oburzona; ale natychmiast rezygnacya bolesna ją zgięła, schyliła głowę wstrzymując łzy. Daguerre zamilkł przestraszony. Ta bladość, odwrócenie oczu, przestrach, toż było wydanie się, nieme wyznanie.

Po chwili bolejąc, szepnęła:

— Czy nie miałam słuszności kiedyś?

Gdy zaś on patrzył z podniesionemi brwiami, dodała łagodnie:

— Nic nie jest jeszcze straconem, zwłaszcza dla ciebie. Jeśli chcesz, abym usunęła się, jeśli chcesz rozwieść się, dobrze. Nawet — ciągnęła dalej patrząc wielkiemi smutnemi oczami, pełnemi łez — ja tego żądam! czy chcesz?

Udał zdziwienie.

— Czemuż?

Spojrzenie żony głębokie, nicokreślone, spotkało się z jego wzrokiem. Potem spuściła oczy i rzekła smutna:

— Jak chcesz, mój najdroższy.

Daguerre mimo woli czuł się wzruszonym. W głębi budził się w nim popęd zerwania niezdrowych myśli, rzucenia się do nóg żonie. Ale oparł się. Rozwód! tak, właśnie. Dolegał jej. Rozwód, aby wyjść za drugiego. Zapewne wahała się, czy dokonać zbrodni. A może ona niepoczytalna, maniaczka-trucicielka?

Niebezpieczeństwo było większe, bo ujawnił swe podejrzenie. Strach wszedł weń, aby go nie opuścić. Nawet myśli o dawnym kochanku pierzchły. Ten, czy ów, wszystko jedno. Najważniejsze: był zagrożony otruciem. Zaczął czuwać. Szukał w kuchni, przeglądał kąty, a nic nie znajdując, jeszcze bardziej bał się. Badał swe wrażenia, stawał przed zwierciadłem, aby obejrzeć język, jak sądził — brzydki. Istotnie, gorączka powolna trawiła go. Niema co mówić, zbliża się koniec, a tak powoli, że nikt nie spostrzega. Jednak czuje różnicę; inaczej było miesiąc temu, tydzień, trzy dni.

Słowa coraz bardziej gorzkie, okrutne aluzye, półsłówka ciskał w Maryę z zimną krwią, zajadle. Potem, gdy sądził, że wzbudził w niej trwogę przed wykryciem

Takie są zresztą zwykle ulubione kobiety France'a.

— Jest zasada — rzecze ktoś w salonie—iż ludzie mają być sądzeni według ich czynów.

— A kobiety?—zapytuje naraz księżna; czy i je pan także sądzisz według czynów? A jak pan się dowiesz co one czynią?

— Pewne nasze czyny—rzekła pani Martin—mają naszą minę, naszą twarz: są to nasi synowie. Inne wcale do nas nie są podobne.

Tytuł powieści „Czerwona lilia" jest herbem Florencyi, gdzie główne sceny się odbywają i zarazem—godłem miłości. Bohaterka kazała sobie zrobić na pamiątkę klejnot z brylantów, wyobrażający lilię czerwoną. „Czyście zauważyli, iż piękne klejnoty mają minę wspaniałej okrutności?— powiada autor. Taką też jest miłość: uczucie brutalne i okrutne, nawet u ludzi delikatnych i ukształconych. Hrabina Martin, rozczarowana w pożyciu małżeńskiem, staje się kochanką Le Ménil'a. Widząc, iż on ją kocha z zaufaniem, ze spokojnym uporem, była zasmucona. Po dwu latach stała się inną. On się nie zmieniał, był wciąż tym samym, dobrym i szlachetnym; pomimo to rozdzielała ich otchłań rzeczy nieuchwytnych, jak powietrze, które daje życie i śmierć. Le Ménil jest naturą prostą. Spotykał się z kochanką i rozstawał w sposób najzwyklejszy, jak gdyby rzeczy nie miały w jego duchu ech i przedłużeń.

Hrabina Martin jest osobą pełną elegancyi i dystynkcyi; obdarzona umysłem filozoficznym France'a, nie ma żadnych przesądów, tylko zmysły nader wymagające. „J'ai besoin d'amour, moi!"—rzekła spoglądając na gasnący w kominie ogień. Dlatego też wybrała Le Ménil'a, zwykłego sportsmena i światowca, prawie bez namysłu. Ale ten wystarczył na krótko. Trzeba jej było człowieka, któryby objawił radość delikatną i wytworny smutek myśli, któryby budził rozkosze uśpione w niej. Znalazła go nareszcie.

Dechartre jest w miłości artystą. Zachwyca się wymową i poezyą linii, które się rodzą z każdego ruchu kochanej. „Pomimo mej uległości—powiada—i mego szacunku, wbrew strachowi, którym mnie napełniasz, ty jesteś materyą, a ja ideą, ty jesteś rzeczą, a ja duszą, ty jesteś gliną, a ja artystą."

W ten sposób autor objaśnia różnicę pomiędzy zazdrością mężczyzny i kobiety. Dla niej jest tylko kwestya miłości własnej, w jej krwi i ciele nie ma tego bezmyślnego szaleństwa posiadania, z którem mężczyzna się rodzi. Dechartre jest wielkim panem, który się bawi w sztukę.

Przypisywano mu złość i ambicyę, był tylko namiętny i nieśmiały. Nie miał prostoty ducha, potrzebnej aby stać się wielkim artystą. Jego niepokoje psuły mu najlepsze wrażenia. Co się staje z ideą, z piękną ideą, gdy jest odziana w wyrazy, w czarne znaczki na papierze? Szeregiem bezmyślnych sprzeczności. Zresztą każdy czytelnik znajduje w książce tylko to, co do niej sam wkłada, własne swe wizye. Autor dostarcza mu jedynie materyału dla pobudzenia wyobraźni. Dusze są nieprzenikliwe jedne dla drugich. Jesteśmy samotni, gdy myślimy, samotni, gdy piszemy. Tłomaczymy się zawsze, ale nigdy nie jesteśmy zrozumieni. To zniechęca delikatnych artystów, w rodzaju Dechartre'a, Paula Vence'a, do pracy.

Dechartre jest duchem niespokojnym i zmiennym, namiętnym i chciwym, kochającym siebie we wszystkiem, co napotyka pięknego w świecie. Z widowiska kobiety, która się stroi codziennie, bierze wielką lekcyę dla siebie i dla artystów wogóle. Ona się ubiera i zdobi dla kilku godzin; to nie są starania stracone. Powinniśmy, jak one, zdobić życie, nie myśląc o przyszłości. „Tworzyć dla przyszłych pokoleń — to glupota dumy," twierdzi ten dyletant. Chaulette, jedna z najlepszych postaci powieści, zlepek Verlaine'a i Tołstoja, wyraża inną stronę duszy pisarza, pokorę chrześciańską w związku z próżnością autorską.

France bardzo sympatycznie się wyraża o tej zimnej jałmużnie, która się zwie altruizmem. Chcąc być ludzkim, trzeba być zmysłowym; litość jest w naszych wnętrznościach, tak samo, jak czułość — na naszej skórze. Choulette ubóstwia biedę; to ona zbawia świat. Od czasu jak otrzymał małą sumkę na zbiór wierszy, czuje się suchym i niesprawiedliwym — zwykle żyje o proszonym chlebie. Chce się wyzbyć życzeń, gdyż one są źródłem smutku. Marzy o zbawieniu świata za pomocą planów dziwacznych, które uważa za nader praktyczne.

„Można mi odmówić wszystkiego — powiada ten fantasta — oprócz jasnej znajomości położenia rzeczy."

France jest nader wrażliwym na metafizyczne kwestye bytu i związuje je z najprostszemi na pozór zjawiskami. Widok zwykłych drzwi pokojowych napełnia go chwilami strachem, przy myśli, iż one prowadzą do nieskończoności.

Najbardziej przewrotne swe zdania kładzie w usta Choulette'a, np. gdy ten staje w obronie prostytutek. Uważa je za nieszczęśliwe i prawie za święte (!!). Złożyły z siebie łachmany pychy i dumy. Ich grzechy bez złośliwości i bez rozkoszy, noszą w sobie swe przebaczenie. Ich błędy są boleścią. Przykute do miłości brutalnej, pozbawione są wszelkiej rozkoszy. One są, jak i my, pełne wiary, lecz wstyd płynie na ich zbrodnie, jak balsam, cierpienie oczyszcza je, jak węgiel gorejący. One będą zbawione.

Odrzucając wszystkie istniejące pojęcia i urządzenia, France ofiaruje ludziom na świadków i sędziów Litość i Ironię. Obrazki rządów Rzeczpospolitej, przeplatające powieść, są delikatną satyrą.

Hrabina Martin spotyka Dechartre'a we Florencyi i oddaje mu się. On ją kocha, ale nie z łagodną czułością, lecz z ogniem okrutnym.

„Jeżeli pani nie może odpowiedzieć mi wzajemnością, odjadę; pójdę nie wiem dokąd, zapomnieć panią i nienawidzieć, gdyż czuję w sobie zasadę nienawiści i gniewu ku pani. Oh! ja panią kocham!"

Jej dusza jest dla niego tylko zapachem jej piękna. Ona obudziła w nim wszystkie instynkty ludzi pierwotnych i on ją kocha z prostotą dzikiego. Jest pełen strachu wobec tej, która może wszystko dla niego, uwielbia ją, ale ma zarazem wszystkie bezbożności żądzy.

Podziwiać trzeba potęgę zmysłowego rzutu, który ogarnia te dwie delikatne istoty. Jest to miłość nimfy i satyra. W nim namiętność pobudzana jest jeszcze przez zazdrość i podejrzenia.

Poważni, o oczach płonących i ściśniętych wargach, w ofierze świętego gniewu, który czyni, iż miłość jest podobną do nienawiści, szukali otchłani. On chciałby nie myśleć o jej przeszłości i nie może. „Powinien byłbym cię kochać naiwnie, bez tej metafizyki namiętnej, która mnie czyni złym i upartym. Najlepiej jest nie wiedzieć i zapomnieć. Chodź, chodź, moja droga. Trzeba, abym zapomniał o tobie w tobie samej." Tylko w jej objęciach traci pamięć o niej, o swych męczarniach. Tymczasem Le Ménil, dowiedziawszy się prawdy, przyjeżdża do Florencyi, robi sceny, jest brutalny, jak woźnica. Ona go słucha w poniżeniu, lecz pocieszona, myśląc o tem, ile byłaby nieszczęśliwą, gdyby go znalazła szlachetnym.

W swej prostocie on nią gardził szczerze; ta pogarda była dla niego i dla niej ulgą.

---

i karą sprawiedliwości, uspokajał ją z krwawą ironią.

Ona jednak nie rozumiała, nie nadawała postępowaniu jego innego znaczenia, niż to, że był nieszczęśliwy z jej winy. Nie spostrzegła ani jego sposobu wąchania półmisków i znajdowania potraw czasami dziwnemi, ani wyczekiwania, póki ona z tegoż samego dania nie weźmie.

Zrozpaczona myślała tylko o śmierci.

* * *

Pewnego poranku przy śniadaniu, gdy Daguerre skarżył się, na każde niemal słowo kładąc nacisk, że czuje ciągłe niepokoje, przestraszyła się, radziła wezwać lekarza. On jak gdyby osłupiał na taki cynizm. Ale potem, podczas gdy Marya siedziała smutna, bojąc się choroby mózgowej u męża, pochylił się nad kawą z taką nieufnością, że nie mogła jej nie zauważyć. Badał kolor napoju, wąchał, nie śmiał podnieść go do ust.

— Ależ to dobra kawa — rzekła. Zdaje ci się coś.

Uśmiechając się, odpowiedział na to:

— Nie przeczę. Ale czuję wielką chęć dać ją do rozbioru. Chciałbym wiedzieć, co się w niej znajduje.

Wyraz twarzy męża wskazywał coś przykrego, odbywającego się w jego duszy. Czuła oddawna, że dotyka krawędzią jakiegoś niebezpieczeństwa. Obelgi adwokata jak gdyby nie rozumiała, a jednak nie mogła powstać z krzesła, tak słowa te uraziły ją. Zaczęła nareszcie przeczuwać, co znaczą. Chciała przemówić, obronić się przed tą groźbą nizką, straszną niesprawiedliwością, zażądać wyjaśnienia. Ale Daguerre z dziką ironią dodał:

— Prawda, że do kawy wsypałaś trucizny pierwszemu mężowi?

Marya wyprostowała się, z oczami obłąkanemi, blada, jak ściana. Potem upadła; musiała rozpiąć kaftanik, w ataku bólu, wstrząsana cierpieniem. Ale samowiedza nie gasła jeszcze; głosem urywanym, ochrypłym, przechodzącym wreszcie w szept, rzuciła:

— Nędzniku! nędzniku!

Całe jej ciało wiło się, ramiona wytężone jak gdyby się rozrywały. Już miała za wiele dzisiaj. Żadnej boleści nie oszczędził jej los. I to powiedział on, on, hańba!

Daguerre patrzył na nią chłodno, bez litości, nie śpiesząc z ratunkiem. Wtedy, zebrawszy ostatnie zapasy sił, zerwała się. Stanęła, z twarzą błędną, zapłomienioną, nie wiedząc, co się z nią dzieje.

— Więc? — chciał dalej dręczyć.

— Ach, nie śmiej mówić, ani słowa.

I opanowując krzyki, które wyrywały się jej z piersi, ściskając głowę w dłoniach, uciekła do swej komnaty.

Prawie w tej chwili Daguerre usłyszał za ścianą stuk. Zadrżał.

— Justyno! — zawołał — pani chora. Zobaczcie, czy jej czego nie potrzeba.

Pokojówka weszła, ale w tej chwili krzyk jej wypełnił dom.

— Panie! panie!..

Wstał. Kobieta drżała, blada, dzwoniąc zębami ze zgrozą. Na ziemi leżała jego żona, rozciągnięta, jakby rażona gromem, a obok flaszeczka z trucizną.

Podniesiono ją i złożono na łóżku. Sługa pobiegła po lekarza. Daguerre pozostał sam przy ciele. Lecz ani jeden promyk nie błysnął w jego umyśle. Nie domyślał się długich cierpień, których był sprawcą; strasznej męczarni, której był bezwiednem narzędziem. Westchnął, potem uczuł litość.

„Wymierzyła sobie sprawiedliwość."

I nieszczęście jego życia pozostało w nim ciężkie, nieoświetlone na zawsze.

Tłom. *W. Bugiel.*

Autor niezbyt lubi ludzi z życia bezpośredniego; wszystkie jego upodobania są po stronie myśli, dla światowców ma pogardę artysty;— jest to tylko wywzajemnienie się.

France jest neo-grekiem: nie obawia się malować scen miłosnych, obficie rozrzuconych, w najbardziej ukrytych szegółach. Trucizna zazdrości wciąż działa. Dechartre błaga Teresę o jałmużnę kłamstwa.

„Jeżeli przede mną ukrywać będziesz prawdę twej przeszłości, nie będę ci tego miał za złe. I owszem, będę ci wdzięczny. Cóż może być bardziej prawowitego, bardziej ludzkiego, niż oszukiwać boleść? Cóż by się z nas stało, mój Boże, gdyby kobiety nie miały już dla nas litości kłamstwa? Kłam, moja ukochana, kłam przez litość. Daj mi złudzenie, które zabarwia mroki smutków. Kłam, nie miej skrupułów. Dodasz tylko jedną jeszcze iluzyę do iluzyi miłości i piękna.“

Łańcuch zmysłowy, który ich wiązał, musiał jednak pęknąć i to nie z przesycenia; z metafizyki miłosnej France'a wypada, iż człowiek jest dla człowieka zagadką niemożliwą do rozwiązania.

„Ah! wszystko, co żyje, jest aż nazbyt tajemnicze. I ty pozostajesz dla mnie, moja ukochana, zagadką, której treść nieznana zawiera w sobie wszystkie rozkosze życia i wszystkie okropności śmierci. Nie bój się oddawać. Będę cię pożądać zawsze i nigdy cię nie poznam. Czyż kiedykolwiek posiadamy to, co kochamy? Czyż pieszczoty, pocałunki, są czem innem, niż wysiłkiem błogiej rozpaczy? Gdy cię trzymam w objęciach, jeszcze cię szukam; i nigdy ciebie nie mam, gdyż zawsze cię chcę, gdyż w tobie chcę tego, co niemożliwe i nieskończone.“

Napróżno Dechartre tłomaczy sobie, iż rzeczy istnieją tylko w naszej wyobraźni i że w tym sensie ta sama kobieta nigdy nie należała do dwu mężczyzn, gdyż każdy inaczej ją sobie wyobrażał. Napróżno tłomaczy sobie, iż zazdrość jest tylko przesądem dziedzicznym, dziką dumą, okrucieństwem bezmyślnem. „To przeszłość mroczna określa nasze uczucia. Jesteśmy tak starzy, gdy się rodzimy!“ Dechartre jest jak chemik, który zna dobrze składowe części nurtującej i gryzącej go trucizny, na którą jednak niema lekarstwa.

Nie wiedział, chciał nie wiedzieć. Nie pytał jej więcej z obawy, iż ona nie potrafi dłużej kłamać. Trzeba było dopiero przyjaciela, który brutalnie otworzył mu oczy i zmusił do dowiedzenia się, kto był jego poprzednikiem.

Od tej chwili prześladowany przez zmorę, odpycha tę, którą kocha. Napróżno ona mu się rzuca do nóg, całując, płacząc, jęcząc. On się wyrywa z jej objęć i woła: „Nie widzę pani samej. Widzę cię razem z tamtym, zawsze.“

Na tem France kończy powieść, ale można przypuścić, iż Dechartre, jak pies z Ewangelii, powróci do swych wymiotów.

Taka jest treść powieści, bardzo żywa, lecz, niestety, autor zbyt jest zajęty odtworzeniem życia wewnętrznego swych bohaterów; zewnętrzni nie są wyraźni; ich myśli i czyny mają więcej życia, niż oni sami. Nie można tego powiedzieć o osobach drugorzędnych, które są bardzo żywotne i ruchliwe, ale być może dlatego właśnie autor je traktuje z pobłażliwą ironią, albo też z pogardliwą litością. Pod względem stylu „Les rouge“ jest prawdziwym klejnotem; delikatną rzeźbą w metalu korynckim.

L. W.

NOWE KSIĄŻKI.

M. E. Trepka. *Anglia i anglicy.* 1895 (Paprocki, str. 398). Goldenweiser, *Prądy i reformy społeczne w Anglii XIX wieku.* Przekład z ruskiego (1894, str. 143).

P. Tr. zebrał w jedną całość artykuły swoje, drukowane poprzednio w paru pismach, właściwie szkice polityczne, społeczne i ekonomiczne. Autor przejęty jest czcią dla instytucyj angielskich; anglo-sasów uważa za „rasę przyszłości.“ W pierwszym szkicu stara się udowodnić takie założenie. Nadto rozpatruje stosunki ludnościowe, wielkie zdolności kolonizatorskie; rozważa następnie przy pomocy cyfr, dostarczanych przez statystyków angielskich, rozwój materyalny Anglii w okresie kilkudziesięcioletnim. Zastanawiając się nad przyczynami tego rozkwitu, największego w Europie, widzi je w wywalczeniu wcześniejszem niż gdzieindziej swobód politycznych i religijnych itd. Opisuje: potęgę kolonialną Wielkiej Brytanii, zatargi kościelne, usamowolnienie Irlandyi, kreśli sylwetkę Parnella. Zapatrywania ekonomiczne i społeczne p. Trepki znane są czytelnikom naszym z jego prac poprzednich, z których *Prawda* podawała w swoim czasie (r. 1888, grudzień) szczegółowe sprawozdania. Autor wyznaje dogmaty szkoły manchesterskiej, jest nastrojony więcej historycznie, niż krytycznie. Pomimo wielkiej objętości książki, p. Trepka nie udzielił miejsca Carlyle'owi i jego wpływowi na Anglię w wieku bieżącym. W porę też wyszła z druku drobniejsza praca autora kijowskiego, Goldenweisera pt. „Prądy i reformy w Anglii XIX wieku,“ która uzupełnia „dzieło“ Trepki. Właściwie nie posiada p. Goldenweiser zasług oryginalności, gdyż praca jego jest tylko bardzo szczegółowem, gdzieniegdzie zaledwie powiększonem—streszczeniem prof. Schultze-Gävernitza: *Zum Socialen Frieden.* Szkoda tylko, że przekład jest niestaranny.

—nr

Na gwiazdkę.

— Bracia Grimm *Baśnie*, według oryginału niemieckiego opracowała C. Niewiadomska, z 16 rycinami, Gebethner i Wolff.

— Teresa Jadwiga, *Dziedzice Otoka*, (Gebethner i Wolff). Bohaterką jest córka zachwianego w interesach ziemianina, po śmierci którego swoją pracą i zabiegami ratuje majątek i otacza opieką rodzeństwa.

— Edward Nałęcz *Z blizka i z daleka*, z 6 rycinami (Gebethner i Wolff). Są to dzieje rodziny, która straciwszy majątek ziemski, dzięki pracy i pomocy przyjacielskiej odzyskuje go.

— Władysław Umiński *Podróż bez pieniędzy*, z rycinami (Gebethner i Wolff). Awanturnicze podróże i przygody dwu młodych ludzi, którzy najmując się do rozmaitych zajęć, zwiedzają wiele okolic ziemi.

— Stefan Gębarski *Chatka pod lasem*, z rycinami (Gebethner i Wolff). Jest to zbiór opowiadań, wierszy i komedyjek z dążnością moralistyczną.

— *Dobra wróżka*, powieść dla dzieci od lat 11—12, wolny przekład z francuskiego (?) A. Sulickiej (Gebethner i Wolff). Dzieci wychowane w zbytku wyjeżdżają na wieś do ciotki, u której pozbywają się wielu wad a zyskują przymioty.

— J. Warnka i L. Jahołkowska *W ogródku dziecięcym* (Gebethner i Wolff). Jest to zbiór zabaw, marszów i piosenek z nutami.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Julian Mohort (Ochorowicz), *Listy do przyszłej narzeczonej* (str. 96, Warszawa, Paprocki). Jest to już czwarte wydanie beletrystycznej rozprawki o stosunku dwu płci w sprawach serca i o małżeństwie. Oryginalnych uwag i spostrzeżeń mało.

— Dalsze ciągi wydawnictw zeszytowych posunęły się naprzód. *Encyklopedya rolnicza* doszła do zeszytu 40 (lit. J.) *Obraz literatury powszechnej* P. Chmielowskiego i E. Grabowskiego do zeszytu 3, *Arcydzieł* Szekspira w wydaniu lwowskiem mamy zeszyt 13 (po k. 15), *Dzieł dramatycznych* tegoż autora w tańszem wydaniu warszawskiem Gebethnera i Wolffa—tom 4 (po k. 50). Nadto w Wiedniu nakładem F. Bondego, a pod redakcyą dr. L. Kubali zaczęły wychodzić zeszytami (po 12 kop.) *Dzieje powszechne ilustrowane* (w Warszawie skład u Centnerszwera).

— Nie przesądzając praktycznej wartości rad i pomysłów autora, które wymagają specyalnego znawstwa, uważamy *Najnowsze bartnictwo* Fr. Molickiego (str. 424) za pożądane wzbogacenie naszej ubogiej w tym przedmiocie literatury. Autor objaśnia szczegółowo budowę i naturę pszczoły, kreśli obraz historyczny wynalazków w dziedzinie pszczelnictwa oraz jego rozwój u nas, wykłada rozmaite systemy praktycznych ulów i zasady sztucznej hodowli. Praca p. M. jest bardzo wyczerpującą.

— *Pięć odczytów o bakteryach* d-ra Bujwida wyszło w drugiem, uzupełnionem wydaniu.

— Cenna praca znakomitego fizyologa niemieckiego W. Preyera p. t. *Rozwoj umysłowy dziecka*, znana czytelnikom naszej książki *Psychologia dziecka*, wyszla w przekladzie polskim d-ra M. Flauma u T. Paprockiego.

— Z przyszlorocznych kalendarzy mamy do zanotowania dwa: Ungra i *Chochlik* humorystyczny (T. Paprockiego).

— Jeszcze jedna *Poglądowa metoda nauki czytania*, F. Jeziorańskiego, zawierająca wskazówki dla nauczyciela, elementarz i wypisy do czytania. Autor prowadzi naukę czytania jednocześnie z nauką rachunków. Zamieszczony na czele książki list J. Karłowicza bardzo zachwala tę metodę, polegającą przytem na dokładniejszem objaśnianiu uczniowi natury głosek.

— R. Mathias Bersohn wydał w r. 1890 dziełko pt. „Studenci polacy na uniwersytecie bolońskim w XVI i XVII w.“. Obecnie znalazłszy w bibliotece Zamojskich część księgi zgromadzenia studenckiego (*Album polonorum*) tej wszechnicy, ogłosił dopełnienie pracy poprzedniej, zawierające wierną kopię rękopisu wraz z wizerunkami tarcz herbowych oraz kilka objaśnień.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

II.

Tymczasem — bawimy się. Mamy Modrzejewską we Lwowie. No, że jest ona wielką artystką — tego chyba dowodzić nie potrzeba, a jednak piszę o niej — taka jest siła piękna. Zewnętrznie zmieniła się, ale zawsze to ta sama, wielka artystka. Skala jej talentu bardzo wszechstronna, zacząwszy od wesołej Rozalindy w „Jak wam się podoba,“ do lady Macbeth; wszędzie jednak, we wszystkich jej kreacyach scenicznych, przebija się jeden rys znamienny jej talentu — poezya. Modrzejewska potrafi najbrzydszy charakter otoczyć urokiem miękości, a miara artystyczna i wrodzony zmysł piękna nie pozwolą jej przekraczać granic ani w stronę sentymentalizmu, ani naturalizmu. Gra u niej harmonizuje z duszą i każdy ruch, każda poza jest jakby przeniesioną z posągu greckiego lub rysunku. Ruchy jej ciała—nie mówiąc o mimice — odpowiadają i godzą się z nastrojem duszy bohaterki w danej chwili; widz nie doświadcza wrażenia fałszu lub przesady. Dzięki tym tylko przymiotom, połączonym z wymową, głosem, postawą, wrażenie, jakie ona sprawia, jest nadzwyczajne. W scenach gwałtownych, jak śmierć Adryanny, wywołuje litość, tak samo w lady Macbeth, gdy płaszcz królewski, ciężący jej na ramionach, precz odrzuca. Tu i tam wstrząsa widza odkrywaniem przed nim różnych stanów duszy ludzkiej. Mimowoli nasuwa się porównanie Modrzejow-

skiej z Sarą Bernhard. Niech mi wolno będzie, jako niekrytykowi teatralnemu, powiedzieć, że pierwsza reprezentuje w grze swojej romantyzm, druga — naturalizm. Proszę sobie tylko przypomnieć, jak każda z nich inaczej umiera. Modrzejewska usuwa wszelkie rysy nieestetyczne, Sara Bernhard akcentuje je rozmyślnie; pierwsza umiera jak artystka, druga — jak typowa nierządnica szpitalna, którą niespokojny duch miota konwulsyjnie; pierwsza zwróciła większą uwagę na duszę i charakter cierpienia człowieka, druga — na mimikę i ciało; jedna budzi współczucie i smutek, druga — wstręt i oburzenie. Gra Modrzejewskiej jest dotknięciem ręki do aksamitu, Sary Bernhard — do stali.

Jeszcze jeden zarzut Modrzejewskiej zrobić można — że gra sama i najczęściej sama na swoich wątłych barkach dźwiga całego Shakespeare'a. Jest to nieszczęście talentu. Tylko Chmieliński potrafi dostroić się do gry tej artystki, reszta — pożal się Boże! Dużo pretensyi, pozy, pracy, mało talentu, a jeszcze mniej wykształcenia artystycznego. Kiedy patrzę na grę wielkości tutejszych, zdaje mi się, że one nic nie wiedzą o tem, jak Shakespeare'a grywał Dawid Garrick lub Filip Kemble, a zbyt często zapominają o wejmarskich przepisach Goethego dla aktorów. A jednak — grają i mają nawet tę pociechę, że dopóki z Modrzejewską grać będą, sala będzie pełna. Potem — niech sobie znowu „Bzy kwitną" przed pustemi ławkami...

Od sztuki przejdźmy do nauki. Pragnę kilka słów powiedzieć o Towarzystwie historycznem, które nie wdając się w żadną politykę, zajęło stanowisko wyłącznie naukowe z pożytkiem dla licznych swoich członków, jak też czytelników. Powstało ono z inicyatywy profesora Ksawerego Liskego, który potrafił obudzić ogromne zainteresowanie dla nauk historycznych, wykształcił kilkunastu młodych i zdolnych pracowników, ci zaś, jak dotychczas, zajmują się historyą, powiedziałbym, monograficzną. Zagłębiwszy się w drobnostkowych badaniach niektórych okresów dziejowych, a często nawet zdarzeń tylko, po za monografie żaden z nich nie rozszerzył swej działalności. Nie wiem, czy jest to wynikiem braku talentu twórczego i konstrukcyjnego, który dopiero w większej budowie da się wypróbować, czy też tylko następstwem rozmiłowania się w drobnostkach, dość, że tak jest. Nie pragnę bynajmniej zniżyć w ten sposób ich pracy, usiłuję tylko scharakteryzować ją. Nie da się zaprzeczyć, że na tę drogę pchnął Liske wszystkich prawie młodych historyków. Wszystkie też siły młode skupiają się około *Kwartalnika historycznego*, wydawanego do niedawna przez dr. Balzera, a obecnie przez komitet redakcyjny z dr. Semkowiczem na czele. Dr. Lud. Finkel, który w ciągu bardzo krótkiego czasu wydał dwie wielkie i cenne prace: *Bibliografię historyczną* (t. I) i *Historyę uniwersytetu lwowskiego*, prowadzi w tem piśmie przegląd historyczny i bibliografię.

Na posiedzeniach miesięcznych roku ubiegłego miał odczyt dr. Balcer *O upadku Władysława Laskonogiego*, Prochaska *O nowych poglądach na Witolda*, jako też dr. Antoni Małecki, który potrzykroć głos zabierał, mówiąc o *Kronice Baszka* czyli tz. *Kronice Wielkopolskiej*, *O genezie bałamuctw lechickich* i wreszcie o *Ludziach wolnych w księdze Henrykowskiej* trzeba przyznać, że każde badanie jego odznaczało się bystrością krytyczną i jasnością wykładu. W rozprawce o *Kronice Baszka* prelegent ustalił datę jej powstania i historyę, a w *Ludziach wolnych* rzucił zupełnie nowe światło na stosunek ludzi wolnych do książąt, jakoteż na łacińskie nazwy tej ludności, inne mające znaczenie w owe czasy niż zwykle nadawane im określenia. Dodać jednak muszę, że członkowie Towarzystwa zajmują się dziejami Polski wyłącznie prawie do XVI w., a dalej po za źródła łacińskie nie sięgają lub bardzo mało. Dzieje Rusi i Litwy XVII i XVIII w. w Towarzystwie histor. i *Kwartalniku* są niemal zupełnie pominięte, jak gdyby historya kończyła się tam, gdzie się kończy łecina w aktach. Jednostronność ta, bardzo dla nowych dziejów szkodliwa, wynika prawdopodobnie z tego, że młodzi historycy, poduczywszy się w szkole trochę łaciny, jadą już na niej przez całe życie, zamało oddając się badaniu języków i narzeczy wschodnio-słowiańskich. Zarzut ten wydaje mi się tem słuszniejszy, że Towarz. hist. otrzymuje 10 miesięczników historycznych rosyjskich, z których nikt chyba nie korzysta, a więc służą one jedynie dla bibliografii. W roku ubiegłym Tow. historyczne wydało w opracowaniu Korn. Juliusza Heck'a, Tomasza Pirawskiego *Relatia status almae Archidioecesis Leopoliensis*. Wydanie niezawodnie bardzo staranne a praca pożyteczna, materyał dla historyka bogaty, bo tylko przy pomocy lustracyi starostw i opisów dyecezyi możemy z czasem nakreślić jaki taki obraz statystyczny całości. Relacya Pirawskiego jest o tyle może ciekawsza, że, mówiąc np. o Dominikanach na kresach, daje wiązankę faktów do Historyi kościoła katolickiego. Wo wstępie tu i owdzie wyłażą jednak różki pana prezydenta rady szkolnej.

Przechodząc od przeszłości do faktów bieżących, zaznaczyć muszę iż po śmierci Ogonowskiego katedra nie jest jeszcze obsadzona. Ludzie interesują się tem więcej, niż wam się zdaje — a poniekąd słusznie. Zbyteczna dowodzić, że katedra historyi literatury w uniwersytecie jest przedmiotem bardzo ważnym. Nie może być przecie rzeczą obojętną, kto będzie wykładać, tem bardziej, że kandydatów łatwo policzyć na palcach. Są to: Iwan Franko i Aleksander Kołessa. Pierwszy z nich, zdolny i pracowity, rozrzuca swoje zdolności i pracę na wszystkie strony, a rzadko się skupia, ażeby dźwignąć większy ciężar. W każdym odłamie dziedziny literacko-naukowej zapisał swoje imię wyraźnemi zgłoskami, a jednak gorączkowa chęć wiedzy i ciężkie okoliczności życia dla człowieka umysłowo pracującego w Galicyi, mogą zmarnować tę niepoślednią siłę. Trochę spokoju i lepszych warunków, a Franko mógłby zebrać w jedno ognisko rozpraszane codzień swoje światło i wiedzę, a wówczas niezawodnie i ci, którzyby mu dali możność pomyślnej pracy, oddaliby i dla człowieka i dla kraju usługę wielką. Wątpię jednak, czy się tak stanie. Przez progi, obstawione żelazami protekcyi, trudno przeciskać się z pochyloną głową temu, kto raz w życiu szczerze ją pochylił przed własnem sumieniem i wiedzą.

Drugim kandydatem na krzesło profesorskie mógłby być Aleksander Kołessa. Nie wiem, czy kto w prasie warszawskiej zwrócił uwagę na pracę jego p. t. *Ukraińskie pieśni ludowe w poezyi Bohdana Zaleskiego*. W Galicyi nikt jej słówka nie poświęcił i nie dziwię się wcale. Badaniem źródła twórczości Zaleskiego, o ile wiem, u nas na seryo nikt się nie zajmował. Pisał wprawdzie o nim Piotr Chmielowski. Umiał on doskonale scharakteryzować poezyę Zaleskiego, ale o źródle jej mówił za innymi. Każdy łatwo odgadywał pokrewieństwo poezyi Bohdana ze światem twórczości ludowej, ale inna rzecz odgadywać, a inna wskazać dokładnie. Wprawdzie Zaleski, jakby umyślnie pragnąc zbałamucić krytyków, pisał pod utworem *Arab u mogiły konia*: duma z pieśni ukraińskiej, ale była to swawola lub mistyfikacya poety. Taki np. wierszyk, jak:

Przeszły pogodne me chwile,
Już ja nie żyję dla świata,
Anioł mój już mię odlata,
Szczęście me znajdę w mogile.

nawet z duchem poezyi ukraińskiej nic nie ma wspólnego. To samo można powiedzieć o *Ludmile* i *Lubosze*, które przypominają sentymentalne ballady niemieckie. Kołessa rozpatruje po kolei prawie wszystkie utwory poetyckie Zaleskiego, wykazuje nietylko źródło pochodzenia myśli, lecz zestawia z utworami poety ustępy z dum, z których on czerpał myśli, a nawet obrazy i porównania.

Inne prace tego samego pisarza dowodzą również, że nie brak mu zdolności krytycznych i wiedzy, ażeby zająć katedrę historyi literatury. Czy ją zajmie? Wątpię. Nie staję tu bynajmniej w obronie nieznanego mi człowieka, lecz zasady: trzeba raz skończyć z popieraniem niedołęgów, którzy zamiast pożytku, szkodę przynoszą, zamiast zdrowego ziarna, chwast sieją dokoła

Cho.

Z NIEMIEC.

Pruskie szkoły ludowe.

Stary komunał, że nauczyciel wiejski zwyciężył pod Königgrätz — jest jednym z tych, które po dziesięćkroć zbijane, wracają zawsze — wbrew prawdzie. Od czasu, gdy go wypuszczono, jak rakietę bojową, upłynęło już przeszło ćwierć wieku, ogłoszono tablice statystyczne i wielkie uczone rozprawy, które dawały obraz wychowania elementarnego wcale nie różowy i zupełnie nie „zwycięzki," a mimo to aforyzm historyczny nie przestaje się błąkać po zadrukowanych stronicach i po — naszych głowach. Ostatnie właśnie cyfry zawdzięczamy ankiecie statystycznej z r. 1891; pozwalają one nam przyjrzeć się bliżej istotnym stosunkom. Przedewszystkiem zaznaczmy linię postępu. Liczba szkół ludowych wynosiła w 1882 r. 33,040, w 1886—34,016, w 1891—34,742. Liczba dzieci w tychże latach: 4,200,160, 4,838,247, 4,916,476. Ten postęp uwidoczni się jeszcze bardziej, jeżeli dodamy, że liczba dzieci, których nie przyjęto do szkół publicznych dla braku miejsca, była w 1882 r. 9,432, w 1886 — 8,826, a w 1891 zaledwie 945 dzieci nie uczęszczało do szkoły bez ważnych powodów. Są to wielkie zdobycze postępu wobec stosunkowo krótkiego okresu (1886—91). Obraz stanie się cokolwiek ciemniejszym, gdy zaznaczymy, że w 1886 r. 131,947 dzieci, a w 1891 217,389 musiało codziennie udawać się do szkoły, odległej o 3 lub 2½ kilom. Po godzinie lub trzydziestu minutach spaceru przymusowego, dziecko przychodzi do szkoły zmęczone, co oczywiście działa ujemnie na uwagę i pilność. Nie zapomnijmy także o wpływie pogody i zimie. Wtedy dziecko zagląda do szkoły zrzadka tylko— i cała nauka w takich razach idzie „na psy."

Wieś w porównaniu z miastem jest bardzo upośledzona. Z dwu typów szkół ludowych (1—2 i 3-klasowych) przypada (1891) na wieś z ogólnej liczby (26,074) — 25,281, podczas gdy trzyklasowych tylko 5,590 (z 8,664). Co więcej, w r. 1886 liczono przeszło milion, a pięć lat później 947 tysięcy dzieci wiejskich, które pobierały naukę szkolną w *jednej* klasie. Charakterystyczne są zjawiska, towarzyszące wykształceniu ludowemu w dzielnicach fabrycznych. Wiadomo, że prawodawstwo w tej mierze zezwala na pracę dzieci mniej, niż 14-letnich, jeżeli tylko ukończyły już nauki szkolne. Otóż według źródeł statystycznych, w 1891 r. 62,838 dzieci opuściło szkołę, nie mając pełnych lat 14. Z tych trzecia część (20,945) przypada na prowincye nadreńskie, w tem $^3/_4$ na okrąg düsseldorfski. Miejscowy przemysł koronkarski potrzebuje delikatnych palców dziecięcych i pożera wykształcenie.

Przyjrzyjmy się z kolei samemu przebiegowi nauki. Podczas gdy we Francyi i Szwajcaryi najwyżej 40—50 dzieci przypada na jednego nauczyciela, statystyka pruska uważa za objaw normalny 70—80 uczniów w szkole jednoklasowej. W roku 1882 47%, w r. 1886—46%, a w r. 1891 — 33% dzieci znajdowało się w „przepełnionych salach.“ Między niemi było 27 tys. takich, które pobierały „naukę“ w grupach po 150. Na 82 tys. klas było do rozporządzenia zaledwie 70 tys. pokojów, wskutek czego 20 tys. (1/4) połączono po dwie klasy razem. W znacznej części wypadków szkoła pruska mieści się nie we własnych domach. W r. 1886 na 75 tys. było zaledwie 62 tys. własnych mieszkań szkolnych. Nauczyciel Tews mówi w tej sprawie: „Żądamy dla każdej klasy oddzielnego pokoju. Jest to po prostu bezlitośnem wtłaczać dzieci różnego wieku do jednych ławek szkolnych, uczyć drugą klasę w zużytem przez pierwszą powietrzu, a kazać następnej na deszczu i śniegu czekać za drzwiami na swą kolej.“ Co do liczby malców, przypadających na jednego nauczyciela, wogóle daje się spostrzegać pewien postęp. W r. 1882 wypada jeden nauczyciel na 72,4 uczniów, w r. 1886 na 75, w 1891 na 70 uczniów. W pojedynczych atoli okręgach cyfry są większe. W Monasterze wypada jeden nauczyciel na 83 uczniów, a po wsiach jeszcze gorzej. W okręgu wrocławskim mamy 83 uczniów na 1 nauczyciela, w opolkim 84, w monastyrskim 90, w poznańskim 95. W 190 okręgach W. Ks. Poznańskiego jeden nauczyciel musi uczyć więcej, niż sto dzieci. Stąd też i z Prus wschodnich pochodzą analfabeci państwa niemieckiego — szczątki wygasającego już tutaj gatunku! P. Petersilie, który z urzędu opracowywał statystykę szkolną, mówi: „Praca w tej mierze będzie niemała. Przyglądając się jej atoli z blizka, nie widzimy wcale, ażeby zależała od władzy szkolnej. Wiadomo powszechnie, że chęć stworzenia lepszych stosunków paraliżowaną bywa zawsze przez brak środków.“ Idzie tutaj o 20 mil. marek zaledwie. I na taki „luxus“ skarb nie może sobie pozwolić! Według budżetu z r. 1891/2. na głowę ludności niemieckiej przypadało wydatków na cele militaryzmu 13,20, a na wychowanie elementarne i średnie zaledwie 5,91 marki.

Przy sposobności nie możemy pominąć wniosku *Militärwochenblattu*: „Niewątpliwie podoficerowie nadają się zupełnie na stanowiska nauczycieli ludowych. Pedagogika praktyczna, z którą zapoznano ich przez lata, jest więcej wartą, niż teoretyczne w tej mierze uzdolnienie nauczyciela. Przyzwyczaić do słuchania, dyscypliny i porządku — tego nie potrafi dzisiaj kościół, potrafią to uczynić nauczyciele, którzy sami nauczyli się słuchać, a potem rozkazywać. Rezultaty, osiągane w szkołach koszarowych, są świetne, tylko że w kołach cywilnych nie zwraca się na nie dostatecznej uwagi.“ Tak powinien rozumować prusak, uosobienie militaryzmu na wszystkich polach i pod każdym względem.

Por.

LIBERUM VETO.

Jednostronne zabiegi i ich dopełnienie pod naciskiem konieczności.—Spółki przemysłowo-rolne.—Ich wpływ ekonomiczny.—Dzieci zamożne i uboższe.—Kształcenie uczuć altruistycznych. — Literatura dziecinna.— Talent i dobra chęć.

W ostatnich latach orędownicy najpotężniejszej u nas gałęzi przemysłu—rolnictwa rozmyślali niemal wyłącznie tylko nad ulepszeniem sposobów produkcyi i zniżeniem jej kosztów. Wielkim i małym mistrzom chodziło o wynalezienie takich recept, któreby pozwalały wytworzyć najmniejszym nakładem największą ilość płodów ziemi. I przyznać trzeba, że pod tym względem kraj nasz zrobił znaczne postępy. Mamy wzorowo urządzone folwarki, wysoką w nich kulturę, rozliczne maszyny, oszczędzające i ułatwiające pracę, mamy mądre płodozmiany, zarodowe obory i stajnie, tylko najpiękniejszym owocom naszej pracy brak... zbytu. Narzeka nań zarówno posiadacz zboża, jak hodowca bydła, owiec lub chmielu. Wyczerpawszy skargi na złośliwe figle Ameryki, na cła niemieckie i szacherki żydowskie, zaczęliśmy rozmyślać nad szeregiem pytań, które dotąd pomijaliśmy, mianowicie: czy nasze zabiegi ekonomiczne nie były dotychczas zbyt jednostronne; czy samo ulepszenie techniki gospodarczej zapewnia osiągnięcie jej celów; czy ona przygotowawszy tanio dobry towar, może nie troszczyć się o korzystną jego sprzedaż? Praktyka na wszystkie te pytania odpowiedziała przecząco i podsunęła naszym producentom rolnym do rozwiązania inną kwestyę— handlową. Zrozumieli oni, że nie dość wytworzyć pewien produkt, trzeba jeszcze znaleźć dla niego rynek. I oto obecnie, mając pełne śpichlerze zboża, pełne magazyny chmielu, pełno kopcc warzyw, których nikt kupić nie chce, zapomnieli o żniwiarkach, pielnikach, sztucznych nawozach i rzucili się do zawierania spółek przemysłowo-handlowych, do których zawsze uczuwali niepokonany wstręt i do których oddawna namawiali ich „nieproszeni opiekunowie szlachty.“ W Płocku zawiązała się spółka dla hurtowej sprzedaży zboża (z kapitałem 20,000 rs.), a w Łodzi dla sprzedaży opasów i mięsa (z kapitałem 6,000 rs.). Nie badam i nie oceniam istoty tych przedsięwzięć, wymagających specyalnego znawstwa, na którem mi zbywa; zaznaczam tylko dwa nowe ogniwa w łańcuchu usiłowań ze strony producentów rolnych. Do spółek: rybackiej, wódczanej (rektyfikacya), dojrzewającej chmielarskiej, przybyły: zbożowa i mięsna; a ponieważ takie skupianie się pojedynczych sił w większe całości, takie tworzenie potęg handlowych z niemocy osobniczych musi oddziałać zdobywczo na rynki, a korzystnie na interesy uczestników, przeto spodziewać się można, że ruch spółkowy ogarnie wkrótce szerszymi kręgami sferę naszej produkcyi rolnej. Wywrze on jeszcze na nią ten dobry skutek, że lepiej zaznajomi wytwórców z potrzebami i wyraźniej wskaże im drogi, na które wejść mogą bez zawiązanych oczu i ryzyka.

Nadchodzące święta wyciskają swe zwykłe piętno na życiu wielkomiejskiem, które przybiera postać karnawału filantropii. „Wenty,“ bazary, sprzedaże rabatowe i dyżury dam w sklepach wchodzą na porządek dzienny i wywołują krzątaninę, z której coś odpada dla biednych, ale która więcej hałasuje, niż robi. Chociaż bądź uczucie obowiązku, bądź uczucie miłosierdzia pobudza nas coraz mocniej do czynów filantropijnych w pewnych porach roku, jak powiew wiosenny pobudza ptaki do słania gniazd, nie możemy żadnego z tych uczuć wpleść jako ciągłą nić w pasmo życia, a nawet rozszerzyć miary wyrobu plasterków kojących według wzorów, stosowanych za granicą. Pomijając inne, dotknę jednego, który wiąże się ze sprawą szerszą. *Słowo* opewiada, że w Anglii dzieci rodziców zamożnych wklejają w książki (t. zw. *Sckrap Books*) różne obrazki, drzeworyty, chromolitografie, wycinki z pism ilustrowanych itd., a przy końcu roku rozdają je na gwiazdkę dzieciom ubogim i chorym, leżącym w szpitalach. Dar taki sprawia niewątpliwie drobną przyjemność biedactwu, ale daleko większą ma on wartość dla małych filantropów, którym przez cały rok przypomina istnienie niedoli. My — tj. ludzie, mogący swoje dzieci karmić, ubierać, kształcić, zadawalać w zdrowiu i pielęgnować w chorobie — zbyt mało rozwijamy w nich świadomość cudzego ubóstwa. Usuwamy je od stosunków z niem, nie przypominamy dość często małym pieszczochom losu, że środki, marnowane przez nich dla dogodzenia przelotnym kaprysom, zaspokoiłyby czyjąś ciężką potrzebę, pozwalamy im demoralizować się w nadmiarze używania bez żadnego altruizmu. Dlatego w takiej hodowli wyrastają egoiści, ludzie słuchający tylko praw samolubstwa i własnego interesu, których nienawidzimy lub potępiamy, gdy są dojrzali, a którym przebaczamy sobkostwo, gdy są dziećmi. Niech więc wklejają obrazki w książkach gwiazdkowych, niech wreszcie robią coś innego w tym rodzaju, aby tylko pamiętały ciągle, że po za ich światem dobrobytu, wygody i zbytku rozciąga się olbrzymi świat niedostatku i biedy. Będzie to lepsza i bardziej pouczająca szkoła uczuć moralno-obywatelskich, niż mechanicznie wbijane w głowę reguły, które z niej szybko wypadają.

Wielką usługę w tym względzie mogłaby oddać literatura dziecinna, gdyby zdołała wyzwolić się z dotychczasowych pomysłów, trzymających ją w dwu kleszczach — awanturniczych przygód i nudnego morału. *Robinson* był tworem świetnym, ale właśnie dlatego na całe wieki oślepił wyobraźnię autorów powieści dla młodych umysłów, która nie może zdobyć się na nic zajmującego po za pełną niebezpieczeństw tułaczką malców przez odległe lądy i morza. W tych ramach zaś niepodobna oprawić żadnego obrazka stosunków miejscowych. Gdy zaś kto te ostatnie weźmie za przedmiot opowieści pedagogicznej, daleko częściej wychodzi z piśmienniczego warsztatu poczciwa robota, niż dzieło talentu. Niestety, ów talent nie da się zastąpić żadną dobrą chęcią zarówno w książce dla dzieci, jak dla dorosłych. Uwierzmy raz w to, że malców nie oszukamy i nie weźmiemy na lep najzacniejszej nieudolności — one także mają swój zmysł, którym rozróżniają pracę dobrotliwą od artystycznej.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Domy łódzkie. Korespondent *Słowa* pisze z Łodzi: „W piątek runęły dwie ściany w nieskończonej trzypiętrowej kamienicy Auerbacha przy ul. Zielonej; we wtorek (następnego tygodnia) zawaliła się cała klatka schodowa w takiejże kamienicy przy ul. Północnej; we dwa dni potem runął 150 stóp wysoki komin w wykończonej przędzalni Steinerta. W sobotę runęła dalsza ściana w powyżej wspomnianej kamienicy przy ul. Północnej. Kamienica ta, mająca trzy piętra i czwartą facyatkę, była już częściowo wynajęta, a na górnych piętrach nawet zamieszkała przez ludność ubogą. Po wypadku górne piętra pozostały zupełnie oderwane od świata; musiano po linach i drabinach sprowadzić stamtąd ludzi i ich mienie.“ Przypomnijmy sobie, że w roku przeszłym w tem samem mieście runęło całe skrzydło wielkiej trzypiętrowej kamienicy Chaima Bławata przy ul. Zachodniej, gdzie pod gruzami znalazł śmierć jeden robotnik a pięciu odniosło rany. Była ona już na ukończeniu, a twórca tego dzieła miał sposobność wsławić się znowu, gdyż dom, który obecnie runął przy ul. Północnej, także był budowany pod jego dozorem. Tak wygląda jeden z czynników rozrostu wielkiego ogniska przemysłu. Przypatrzmy się temu szczegółowi bliżej i oceńmy go należycie. Nadzwyczajny napływ ludności do tego źródła geszeftu stworzył osobną gromadę speku-

lantów, napełniających sobie kieszonie z narażeniem życia i mienia mieszkańców. Zasadą ich jest budować domy możliwie najtaniej i najszybciej i czuwać nad nimi, żeby się nie rozsypały tylko do chwili, aż będą sprzedane. Słowem, robią ogromne schronienia dla ludzi w taki sposób, jak szewc-tandeciarz buty z papierowemi podeszwami. Do tego bierze się o ile można najlichszy materyał (cegły i wapno), jak najmniej żelaza, najgorsze belki, buduje się ściany tak cienkie, aby tylko mogły ustać do chwili ukończenia. Trzeba przyznać, że kierownicy tych robót, niefachowi, partacze z pod ciemnej gwiazdy, są jednak mistrzami pewnego rodzaju, bo gdy najwytrawniejszy budowniczy miałby odwagę w ten sposób tylko wznosić domki z kart dla swych dzieci, z zastrzeżeniem, aby nie dmuchały i nie trącały stołem, tamci nie wahają się wznosić kamienic trzypiętrowych według systemu budowania z kart, wiedząc, że dokoła setki ludzi chodzą i że z czasem zamieszkają pod dachem tych lepianek olbrzymich.

Oto, skąd wynika ten głoszony przez korespondentów „gorączkowy ruch budowlany“ w mieście powyższem. W ciągu ostatnich paru lat powstały tam dwie czy trzy setki domów takich, nietylko niebezpiecznych, ale ponurych, wilgotnych i nieposiadających wygód. Jeżeli weźmiemy przeciętnie tylko stu mieszkańców w każdej takiej kamienicy, otrzymamy poważną liczbę 20—30 tys. ludzi, narażonych na śmierć pod gruzami tych budynków. Żadna epidemia chyba nie mieści w sobie tyle grozy! Skoro więc laseczniki z taką zaciętością tępimy, jeżeli szerzyciele nieczystości podlegają wysokim grzywnom i kozie, to o ileż surowiej powinna być tępiona fuszerka i karani jej twórcy!? Zwrócono wprawdzie na nich baczniejszą uwagę w ostatnich czasach, ale umieją oni omijać czujność równie zręcznie, jak kleić ściany cienkie. Tak np. niektórzy architekci miejscowi, żądni wielkich zarobków, opracowywują i podpisują po kilkadziesiąt planów rocznie, jednocześnie zaś wobec komisyi budowlanej występują ze swoją firmą, za którą dzieją się najbezczelniejsze nadużycia. W roku przeszłym oburzeni mularze i cieśle cechowi, chcąc swoją sławę ocalić, uchwalili, iż będą ze stowarzyszenia wykreślać każdego, kto tylko podpisze plany budowli, których nie ma zamiaru prowadzić osobiście. Nie dość tego; sądy zaczęły surowiej karać przestępców, a Towarzystwo kredytowe miejskie przy wydawaniu pożyczek wprowadziło utrudnienia dla domów licho budowanych. Pomimo tych wszystkich obostrzeń, spekulacya nadal rośnie najpotworniej, o czem świadczą świeże wypadki zawalenia się domów. Trudno atoli przypuścić, żeby nie było na to środków stanowczych. Prawdopodobnie wejdą one w życie pod postacią surowych przepisów, które spekulantów budowlanych pociągną do odpowiedzialności rownie surowej, jak opryszków, a domy licho zbudowane będą niszczone, jak straganiarzom zepsute ryby lub mleko fałszowane. *Dr.*

Kalisz. Jest obecnie na dobie bardzo ważna sprawa dla pogranicznej ludności robotniczej: Czy wejdą w wykonanie pewne ułatwienia przejścia granicy pruskiej? Chodzi tu o uproszczenie formalności w wydawaniu upoważnień do przejścia granicy. Interesowani uważają za niedostateczny termin ośmiodniowy, jest więc pożądanem przedłużenie tego okresu jeszcze o tydzień, nadto należałoby strefę, w której wolno przebywać, rozszerzyć do ośmiu lub dziesięciu mil. Dziś po za pas 21 wiorstowy nie wolno sięgać bez osobnego paszportu. To właśnie dla ludności, poszukującej zarobków, jest rzeczą uciążliwą. Ciekawe w tym względzie szczegóły podał niedawno korespondent *Warsz. dniewn.*: „Obecnie osoba, jadąca za kartką legitymacyjną, jest obowiązana powracać bezwzględnie przez tę samą komorę, przez którą wyjechała za granicę; otóż z uwagi na krępujące znaczenie przepisu, rząd niemiecki proponuje, aby za kartką legitymacyjną wolno było przejeżdżać przez każdą komorę. Chodzi tu również o to, aby powiększyć ilość urzędów, upoważnionych dziś do wydawania kartek legitymacyjnych. Czas, w ciągu którego szlabany graniczne są otwarte, wydaje się naszemu sąsiadowi za krótkim, projektuje on przeto zamykanie ich o godzinę później, a nawet pragnie, aby przepuszczano podróżnych i po zamknięciu szlabanów za opłatą specyalną 50 fenigów od osoby. Ze względu, że wielu poddanych tutejszych udaje się latem na zarobki do Niemiec i obowiązkowe co 8 dni odnawianie kartek legitymacyjnych naraża ich na kłopoty i koszty, rząd niemiecki pragnie, aby osoby tej kategoryi otrzymywały bezpłatnie w miejscu swego zamieszkania specyalne kartki legitymacyjne, ważne mniej więcej na 8 miesięcy. W końcu żąda jeszcze zniżki taksy pasportowej. Środki te, zaprojektowane w Niemczech, złożono już, według zapewnień powyższego korespondenta, w ruskiem ministeryum spraw wewnętrznych.

Lublin. Utworzono tu przytułek noclegowy i tanią kuchnię w domu zarobkowym. — Na 144 gmin wiejskich w gub. lubelskiej istnieją 153 kasy pożyczkowo-wkładowe pod głównym zarządem komisarzy do spraw włościańskich; w każdej więc gminie działa jedna, a prócz tego jedna, założona wyłącznie dla dwóch wsi większych, jedna dla czterech wsi i siedem dla osad, czyli dawnych miasteczek. — W ostatnich czasach wykryto wielu lichwiarzy i pociągnięto do odpowiedzialności. Jeden od lat 15 zajmował się swem rzemiosłem; drugi przez 15 lat pobierał procenty od 30 rs. Dłużnik dotychczas nic mu na rzecz kapitału nie zwrócił: procent zaś zapłacony trzykrotnie przewyższa sumę pożyczoną.

Kijów. Pisma miejscowe zbijają stanowczo pogłoskę o wydzierżawieniu kolei Południowo-Zachodnich przez p. Blocha i innych akcyonaryuszów. Natomiast *Kiewlanin* podaje następujące wiadomości w sprawie tych dróg. „Po ich skupie skład osobisty urzędników pozostanie tymczasowo prawie ten sam, przez co uprości się znacznie sam akt przejścia kolei, jako majątku, z rąk Towarzystwa akcyjnego na rzecz skarbu. Ponieważ majątek, reprezentowany przez drogę, pozostanie pod zarządem tych samych osób, które nim dotąd zawiadują, więc cała formalność zejdzie do sprawdzenia inwentarza po d. 13 stycznia 1895 r. Następnie w początkach roku przyszłego specyalna komisya rządowa uda się na miejsce dla dokładniejszego obeznania się ze stanem kolei i zbadaniem, czy i o ile personel urzędniczy może być zmieniony; wreszcie dla zaprojektowania różnych zmian, obowiązujących na wszystkich kolejach skarbowych.“

Petersburg. W ubiegłym miesiącu przypadła dziesiąta rocznica założenia katolickiego Towarzystwa dobroczynności. Liczy ono obecnie 450 członków. Przez cały czas swego istnienia udzieliło pomocy 62,000 osobom, w tej liczbie 1,000 korzystało z przytułków i schronienia. Tow. posiada funduszu żelaznego 137,500 rs. W ciągu lat dziesięciu zebrało 210,308 rs., wydało zaś 187,347. — W Akademii sztuk pięknych rozstrzygnięto konkurs. Z 38 ubiegających się o nagrody w dziale malarskim, otrzymali odznaczenie pp.: Niewiadomski, Staborowski i Ostromęcki. Otwarto tam w tych dniach doroczną wystawę obrazów i prac uczniów Akademii, ubiegających się o nagrody.

Zjazd hygieniczny. Pewną miarą zainteresowania się ukształconych warstw społeczeństwa zdrowotnością publiczną, są międzynarodowe kongresy hygieniczne, mające doniosłe znaczenie. Wszystkie państwa niosą tam zdobycze swoje, dzielą się wskazówkami. Zjazd taki odbył się właśnie w Budapeszcie, podczas gdyśmy obradowali nad urządzeniem wystawy hygienicznej w Warszawie. W kongresie tym wzięły udział niemal wszystkie państwa europejskie, wiele amerykańskich, tudzież Japonia i Egipt. Przybyli ludzie, znani ze swej pożytecznej działalności na polu naukowem, między innymi: Smith, Gruber, Corfield, Nothnagel, Cacheux, Bertillon, Miecznikow, Roux, van Overbeck de Meijr, Kuborn. Z miejscowych wzięli udział: Körösi, Fodor, Pertik i inni. Program był tak obfity, że go całkowicie nie wypełniono, a pomimo jego bogactwa, wbrew zwyczajowi nawet poważne specyalne pisma podały sprawozdania bardzo pobieżne poświęcone szczegółom zewnętrznym. Przyczyną tego było zaniedbanie strony organizacyjnej. Zwykle sprawozdawcy na wszelkich kongresach mają ułatwienie w formie broszur, podających dokładnie treść odczytów. Tym razem zapomniano o tak ważnych rzeczach, więc korespondenci, chcąc rzetelnie odpowiedzieć zadaniu, musieliby posiadać po kilkanaście głów i tyleż par rąk, rozpadać się na cząstki, aby wszędzie jednocześnie docierać. Przedstawicielem naszej zdrowotności był d-r J. Polak, który podał obraz praktyki sanitarnej naszego kraju, stosunku hygienicznych warunków mieszkań do śmiertelności z chorób zakaźnych: mówił o ankiecie w Warszawie z r. 1891, o cholerze r. 1892 tudzież o wpływie wody do picia na zmniejszenie tyfusu brzusznego. Nadto udział w obradach przyjęli: dr. Kowalski z Wiednia i dr. Karliński z Hercogowiny. Obok rzeczy specyalnych między innemi zasługują na uwagę ogólne. Kilku członków komisyi nieustającej podało wniosek, aby w każdem państwie utworzono komitet do układania list osób, które należałoby powołać. Przeciwko temu projektowi wystąpił dr. Polak i bardzo słusznie zaznaczył, iż takie komitety będą miały wielce trudne zadanie, szczególnie w państwach rozległych, gdzie wiele sił pożytecznych można tym sposobem pominąć. Natomiast oponent uważa za właściwsze układanie personelu zjazdów z samych tylko delegatów takich instytucyi jak: rządy, gminy, miasta, towarzystwa naukowe, uniwersytety, redakcye. Albo też należy pozostawić komitetom gospodarczym zapraszanie do udziału członków, znanych z prac naukowych, lub wskazywanych przez towarzystwa odpowiednie. Nyśl ta istotnie o wiele jest słuszniejsza niż powoływanie członków, którzy ani w praktyce ani w teoryi nie zgłębiali dziedziny zdrowotnej. Należy tu wzywać ciała zbiorowe i osoby pojedyńcze, obeznane dokładnie z przedmiotem, a więc takie, które mogą przynieść pożytek swemu społeczeństwu. Na zjeździe niniejszym najszczegółowiej były traktowane dwie klęski, trapiące Europę: dyfteryt i cholera. Co do tej ostatniej, w zakresie profilaktyki, przyjęto bez zmian wnioski międzynarodowej komisyi drezdeńskiej z r. 1892. Obok zwykłego podziału kongresów hygieniczno-demograficznych na sekcye, utworzono tym razem dwie nowe: samarytańską i hygieny kolei żelaznych. Rozumie się, iż ze wszystkich działów najżywsze zajęcie ogólne budziła bakteryologia. Poważne znaczenie miała grupa uzdrowotnienia miast, przedstawiająca obfity materyał. Paryż wystąpił z projektem asenizacyi, tudzież planami niektórych gmachów publicznych i pól irygacyjnych. Obok najliczniej reprezentowanych miast węgierskich, znalazły się: Amsterdam, Odesa, Wenecya, a nawet bardzo odległe: Aleksandrya (Egipt) i St. Louis. Bogaty był również dział kremacyjny, w którym między innymi p. Adamczewski z Warszawy przedstawił projekt cmentarza. *D-r Z. Mirski.*

Szkoła elektryczna Największa dźwignia dzisiejszej kultury i techniki, wyszła już ze zbyt szczupłego zakresu fizyki, wykładanej w średnich tudzież wyższych zakładach naukowych i zająwszy olbrzymie pola pracy, rozpadła się na liczne odłamy wiedzy teoretyczno-praktycznej. Obok instytutów elektrotechnicznych i wogóle szkół specyalnych, uwzględniających zastosowanie tej siły w życiu, powstaje obecnie jeszcze jedna, z kierunkiem czysto praktycznym. Mianowicie Stowarzyszenie międzynarodowe elektrotechników, które przed kilku laty założyło centralną pracownię elektryczną w Paryżu, obecnie dodaje do niej „szkołę aplikacyjną“ dla udzielania inżenierom wiadomości praktycznych w zastosowaniu do przemysłu. Do szkoły tej przyjmowani są uczniowie wszelkich narodowości, bez ograniczenia wieku. Kandydaci nie po-

siadający dyplomu odpowiedniego, składają egzamin z nauki o elektryczności, według programu licencyatu nauk fizycznych, oraz z matematyki, mechaniki i fizyki ogólnej w zakresie niezbędnym do korzystnego uczęszczania na wykłady. Opłata wynosi 200 fr. w dwóch ratach. Nauka cała obejmuje: 1) kurs 30—35 lekcyi elektryczności przemysłowej, 2) 20—25 lekcyi o pomiarach elektrycznych, 3) szereg wykładów przedmiotów specyalnych, 4) ćwiczenia praktyczne z zakresu elektryczności, 5) ćwiczenia w warsztatach, 6) projekty instalacyi przemysłowych, 7) zwiedzanie zakładów elektrycznych. Po ukończeniu kursów uczniowie powinni złożyć projekty swoje najdalej w ciągu dwu miesięcy. Wykłady rozpoczęły się w ubiegłym tygodniu, 5 grudnia. Szczegółowych wiadomości udziela zarząd szkoły (ulica Staël nr. 4, w Paryżu).

Doświadczenia. Z powodu wielkich spustoszeń, poczynionych w roku bieżącym na polach przez myszy, pracownia bakteryologiczna pod kierunkiem ministeryum rolnictwa wykonała sporo doświadczeń w tej mierze. Sprawdzono przedewszystkiem skuteczność środka zalecanego przez Loefflera (zarazek tyfusu mysiego), ale przekonano się jednocześnie, że działa on stosunkowo dość powolnie. Z tego względu przeprowadzono próby z innym, znacznie energiczniejszym i otrzymano wyniki pomyślne. Zanim atoli kultury owego zarazka będą uprzystępnione dla ogółu, należy poczekać na rezultat doświadczeń polnych, podjętych w r. b. staraniem ministeryum rolnictwa. Z tego powodu, jak również ze względu, że na razie powyższa pracownia chemiczna, jako zbyt szczupła, nie mogłaby zadość uczynić licznym zapotrzebowaniom zarazka Loefflerowskiego, ministeryum postanowiło rozpatrzyć wyłącznie w swoim komitecie naukowym wszystkie te sposoby tępienia myszy polnych, które zasługiwałyby na zalecenie, zanim w praktyce znajdą szerokie zastosowanie metody bakteryologiczne. Środki, zalecane przez ów komitet naukowy, ugrupowano w osobnej broszurce, rozsyłanej wszystkim na żądanie.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZWIĄZKI SPOŻYWCÓW.

Nasz ubożuchny, nieruchliwy „Merkury“ ani domyśla się, jak zacięte walki muszą staczać za granicą pokrewne mu swemi zasadami instytucye. Drzemie on sobie spokojnie, jak każda miernota, która nikomu nie zawadzając, nie posiada wrogów, ale też nie ma przyjaciół oddanych. Przed laty stowarzyszenia spożywcze były ukochanym Benjaminkiem każdego znachora społecznego, który doradzał je w dozie możliwie największej, jako leki wypróbowane. Kto zaś był przeciwnikiem tego powszechnie zalecanego środka, kto nawet nie odrzucając zasady kooperacyjnej, powątpiewał przecie, ażeby zjednoczenie spożywców zdołało kiedyś nabrać mocy większej, ten uchodził za podejrzanego warchoła. Ale ta miłość ogólna, jaką otaczano noworodka, należy już obecnie do przeszłości. Związki wyłuszczone, stworzone celem wyzwolenia się od opłaty haraczu pośrednikom, tu i owdzie rozwinęły się bardzo silnie i naturalnie nie omieszkały komuś wejść w drogę i nadwyrężyć czyichś interesów. Stąd wynika, że zamiast powszechnej ongi przyjaźni zaczynają one coraz częściej ścierać się z niechęcią, która czasem bywa groźną. U nas, kiedy w jakiemś Zawierciu powstanie towarzystwo podobne, żydek, zagrożony w swoim dobrobycie, rozpuszcza pogłoski, że tam oszukują, że dają towar wybrakowany, słowem używa środków, które jedna z naszych znachorek mądrze kładzie na karb natury żydowskiej. Niewinne to jednak harce rywalizacyjne! Za granicą niema żydków, a przecież są aryjczycy z krwi i kości, którzy czynią to samo i nawet coś jeszcze gorszego.

Na wiosnę r. b. Wiedeń oglądał w swoich murach olbrzymie zgromadzenie kupczyków i kramikarzy, na którem parotysięczna rzesza pośredników gardłowała przeciwko stowarzyszeniom spożywczym, jako instytucyi, bardzo poważnie podkopującej swoim rozwojem dobrobyt drobnego handlu detalicznego. Skończyło się nawysłaniu deputacyi do rządu, dla przedstawienia rozpaczliwych warunków sklepikarstwa i żądania, ażeby związki spożywców opodatkowywano według zasad istniejących, bez ulgi jakiejkolwiek, oraz ażeby powstrzymano rozwój tej tak szkodliwej organizacyi! W Anglii, gdzie idea kooperacyjno-spożywcza zapuściła niezwykle silne korzenie, rozjątrzenie przeciwko stowarzyszonym przechodzić zaczyna w gwałtowną nienawiść. Dotychczas jednak, zarówno w Austryi jako też w ojczyźnie rozpatrywanej zasady, miotania się sklepikarstwa były bezskuteczne: nad ideą naszej „Zgody“ i „Merkurego“ unosi się jeszcze urok dawny i przeciwnicy nie mogą się z nim uporać. Ale we Francyi rzeczy stanęły zgoła inaczej. Tam w ostatnich czasach powstała myśl, zrodzona pod wpływem rzeczywistości angielskiej, połączenia pojedyńczych stowarzyszeń w związek ogólny. Takie zcśrodkowanie przyniosłoby korzyści nieobliczone, bo nabywając produkty w pewnym zakładzie odrazu dla paruset stowarzyszeń, możnaby wtedy mieć ustępstwa bardzo znaczne. Trzeba było jednak uzyskać odpowiednie zmiany w prawie obowiązującem, wniesiono więc sprawę do izby. Na kramikarzy padł popłoch nielada, zaczęli więc oni spiskować przeciwko rozszerzeniu prawodawstwa w duchu interesów spożywców zrzeszonych. Izba znalazła się pomiędzy dwoma ogniami, ale z próby wyszła jeszcze z godnością: przyjęła uchwałę, która umożliwiła na przyszłość podobne wiązanie się pojedynczych stowarzyszeń, oraz wzięła pod opiekę prawa ideę kooperacyjną. Atoli senat, który bardziej musi się liczyć podczas wyborów z pośrednikami drobnymi, nie zdobył się na tyle odwagi. Mając do wyboru gniew rozjątrzonych kramikarzy i nieme niezadowolenie spożywców, przechylił się na stronę pierwszych. Ojcowie narodu, zasiadający w izbie wyższej, odrzucili przepisy, pozwalające na wiązanie drobnych ogniw w całość jednolitą i tem samem zagrodzili dla idei kooperacyjnej drogę, którą ona z takim pożytkiem kroczy w Anglii. Przy tem obsypali stowarzyszonych gradem urągania. Słowem, minęły dawne dni spokoju i pogody dla związków spożywczych. Wzrósłszy w potęgę, zanadto zaczęły one tu i owdzie zawadzać kupiectwu, ażeby patrzano mile na tego współzawodnika, który stawał się coraz niebezpieczniejszym. Musi on być groźnym, skoro w niektórych miastach posiada zastęp członków, złożony z kilku dziesiątków tysięcy osób!

Ta głośna niechęć dla kooperatystów, oraz towarzysząca jej agitacya najwymowniej chyba świadczą o tem, że dana idea, acz powolnie, przecież wzrasta w siły. Trzeba oddać słuszność, że zwłaszcza w ostatniem dziesięcioleciu czyni ona wszędzie bardzo znaczne postępy, w porównaniu z wcześniejszymi okresami swego żywota. Weźmy chociażby taką Francyę. Pierwsze stowarzyszenie powstało w roku 1855. Rozwój idei zrzeszania przed wojną niemiecko-francuską, jest tak powolny, że ówczesna najwyższa liczba zawiązanych stowarzyszeń dorównywa normie z późniejszego okresu lat najgorszych. Wogóle aż do r. 1880 powstaje przeciętnie zaledwie $5\frac{1}{2}$ stowarzyszeń rocznie, tymczasem po tej dacie cyfra wzrasta aż do $21\frac{1}{2}$. W r. 1885 przypadł pierwszy zjazd osób, działających na tem polu i nadzwyczaj silnie pobudził samą ideę, co też uwydatniło się w odpowiednim rozroście zrzeszenia: w niektórych latach powstało po 30 i więcej towarzystw spożywczych. Rozwój taki spostrzegamy również gdzieindziej, niekiedy zaś, jak w Belgii, zasada solidarności spożywczej szerzy się masowo. Idea więc kooperacyjna nie zasnęła snem błogim, ale postępuje wciąż dalej. Ostatnimi czasy znalazła ona gorliwych apostołów, zwłaszcza śród zachowawców, posiadających bardziej rozwinięte instynkty społeczne, którzy w kooperacyi widzą środek przeciwko dążnościom rewolucyjnym i usiłują namiętnie ją rozpowszechniać. W Anglii istnieje zorganizowana grupa takich działaczów, rozporządzających specyalnemi czasopismami, które się rozchodzą w dziesiątkach tysięcy egzemplarzów. Podobnie dzieje się we Francyi, gdzie profesor Gide, z uniwersytetu w Montpellier, ze swymi przyjaciółmi usiłują obudzić większe zainteresowanie się daną sprawą. Prawie wszędzie co rok odbywają się zjazdy przedstawicieli idei zrzeszenia spożywczego; prócz spraw natury teoretycznej, mianowicie wzajemnego poznania się i propagandy, idzie tam o rzeczy praktyczne, przedewszystkiem zaś o biura centralne, które, działając w imieniu większej liczby stowarzyszonych, zdołałyby wyjednać u wytwórców warunki dogodniejsze. Doszło nawet do tego, że kooperacya spożywcza organizuje zjazdy międzynarodowe. Naturalnie, taka łączność nie zawsze przychodzi do skutku łatwo, bo nie wszędzie panuje głębokie zrozumienie rzeczy. O ile zaś zaszczepiło się ono tu i owdzie, dają nam o tempojęcie próby obrachunku statystycznego, dokonane w ostatnich paru latach. Mianowicie koła apostołów kooperacyjnych i organizacye centralne postanowiły obliczyć zastęp spożywców solidarnych i zebrać drobiazgowe wiadomości o stanie pojedynczych stowarzyszeń, o liczbie członków, rozległości obrotów, wielkości kapitału itd. Rozesłano w tym celu stosownie ułożone kwestyonaryusze. W Anglii spis taki zrobiono w roku ubiegłym. Z 1465 stowarzyszeń spożywczych, o których istnieniu wiedziano i którym doręczono kwestyonaryusze, tylko 17 nie odezwało się—tj. nieznaczny ułamek, w porównaniu z liczbą tych, które pośpieszyły z odpowiedzią. We Francyi zrobiono taką samą próbę na wiosnę r. b. Było to w przededniu owych rozpraw w senacie; szło o poparcie projektu, dozwalającego pojedyńczym towarzystwom łączyć się w związki szersze. Wybrano więc chwilę bardzo odpowiednią, kiedy, zdawałoby się, kooperatyści winni byli czuć potrzebę większego niż kiedykolwiek porozumienia się wzajemnego. Na wstępie kwestyonaryusza umieszczono odezwę, która odrazu postawiła sprawę na gruncie właściwym. „Potrzebujemy statystyki dokładnej, ażeby wykazać władzom oraz naszym przyjaciołom i wrogom siły moralne i materyalne kooperacyi francuskiej. Przebywamy obecnie okres walki. Porozumienie nigdy nie było nieodzowniejsze. Nasi wrogowie są silni i liczni!“ Ilość stowarzyszeń, których adresy posiadano i którym rozesłano kwestyonaryusze, wynosiła 1050. Otóż z tej sumy ogólnej jedynie 442, tj. 44%, raczyło odpowiedzieć! Dodajmy, że z nich wiele odesłało kwestyonaryusz zapełniony w taki sposób, iż niepodobna chyba uważać tego czynu za objaw dodatni. Wszędzie odpowiedziały: „nie!“; jednocześnie zaznaczyły, że nie uznają żadnej instytucyi środkowej ani nie życzą sobie przed nią się spowiadać. Na obronę francuzów winniśmy nadmienić, że sporo stowarzyszeń, którym rozesłano zapytania, już nie istniało, chociaż po nich pozostały nazwy w dziale adresowym odpowiednich podręczników. Zdaje się, że

w Niemczech idea kooperacyi spożywczej zajmuje jeszcze niższy szczebel uspołecznienia, jeśli za probierz świadomosci mamy uważać statystykę i stopień zainteresowania się nią ogółu. Mianowicie w r. 1892 uczyniono tam równie taką samą próbę. Organizacya centralna rozesłała kwestyonaryusz 1283 stowarzyszeniom spożywczym i otrzymała odpowiedzi tylko 344, tj. 25%!

Szczegóły statystyczne, zebrane w ten sposób, są bardzo niedokładne. Dają one pojęcie nie o tem, czem jest ruch spożywczy w samej rzeczy, ani jak szerokiem płynie korytem, ale jedynie o tym jego odłamie, który odznacza się największą świadomością i wypowiedział chęć porozumienia się, bo nie zbył kwestyonaryusza milczeniem. Wprawdzie jest to cząstka najinteligentniejsza, ale tylko cząstka. Otóż liczba takich zrzeszonych spożywców wynosi:

w Anglii	1465	towarzystw	1,202,700	członków
„ Niemczech	344	„	243,329	„
„ Austryi	88	„	46,000	„
„ Francyi	417	„	219,815	„

A zatem Anglia w tej statystyce zajmuje miejsce najpierwsze, przoduje zaś nie tylko pod względem ogólnej liczby członków. Aż w 19 miastach istnieją tam związki, liczące przeszło po 10 tysięcy członków, w Leedsie zaś jest stowarzyszenie, posiadające aż około 31 tysięcy uczestników. Nawet jakiś zakątek na wyspie zdołałby zawstydzić naszych merkurowiczów rozległością swojego zrzeszenia. Idea kooperacyjna tak głęboko zagnieździła się w umyśle anglików, że nieraz po kilka osób łączy się; każda kolejno ma skład wiktuałów lub produktów wspólnie kupionych. Podczas spisu w r. 1892, znalazło się stowarzyszenie, które posiadało pięciu członków, drugie—sześciu. Takie drobne związki, ciekawe są jako objaw zrozumienia nawet małych korzyści, ale pod względem ekonomicznym nie posiadają znaczenia, bo nie dają zysków z solidarności wzajemnej. Wogóle Anglia posiada bardzo mało takich stowarzyszeń, które nie liczą w swoim składzie przynajmniej stu członków. We Francyi, najmniejsze towarzystwo zawiera piętnastu uczestników, a przecież ono rozwija się i żyje. Najwięcej zrzeszeń spożywczych w tym kraju liczy członków po 100—500, około pół setki od 500 do 1,000, drugie tyle przeszło po 1,000. Największe nie dosięgają nawet 15 tysięcy. Urzędnicy państwowi, podobnie zorganizowani jak w Anglii i w Niemczech, stanowią 11-tysięczny zastęp. Oficerowie morscy i lądowi przedstawiają związek, liczący 14 tysięcy; towarzystwo w la Rochelle ma $13\frac{1}{2}$ tysięcy członków, robotniczo-paryska Moissoneuse 14 tys. Natomiast po leedskim największe w Europie towarzystwo spożywcze znajduje się we Wrocławiu, posiada bowiem dwa razy tylu uczestników co najliczniejsze francuskie. Rozmiary obrotów, dokonywanych przez te związki, również świadczą, iż Anglia w tej mierze przoduje innym krajom. Naturalnie, mówimy nie o obrocie ogólnym, gdyż jest to kryteryum bardzo niedogodne dla sądzenia o rozwoju solidarności spożywczej, ale o względnym, przypadającym na członka pojedyńczego. Cyfra ta, wzięta w stosunku do pojedyńczej głowy, wynosi:

w Anglii	(1893)	—	687	frank.
„ Francyi	(1894)	—	411	„
„ Niemczech	(1892)	—	354	„
„ Austryi	—	—	250	„

Z tego przeglądu dziedziny kooperacyi spożywczej widzimy, że idea bynajmniej nie śpi, ale owszem, pełna sił rozwija się, przyucza rzeszę społeczną do solidarnego współdziałania i usuwa zwolna pośredników. Namacalnie przekonywa ona o wysokości haraczu, jaki płacimy kupcom. Towarzystwo w Hautmontaise rozpoczęło swoją działalność w r. 1887 z jednym frankiem kapitału, obecnie ma 4,000 franków w kasie i sprzedaje za 27 tysięcy franków towarów! Ale jedynie w Anglii stała się potęgą groźną, niosącą zagładę pośrednikom, bo jeżeli do każdego członka doliczymy po parę głów rodziny, wtedy okaże się, że jakieś 5 milionów spożywców obchodzi się bez kupców. Francya inny daje nam obraz: obrót roczny całego zrzeszenia wynosi tam 74 mil. franków, wówczas kiedy w takim Louvrze równa się już 120 mil. Jeden bazar wielki przewyższa ogół stowarzyszeń! I rzecz dziwna! Kramikarze, których w Paryżu gniecie, prócz Louvre'u, parę jeszcze takich magazynów, nie zdołali na prawodawstwie wymódz środków przeciwdziałających, dopięli zaś tego, kiedy poszło o zrzeszenie spożywców...

J. Wojewódzki.

NASZA WETERYNARYA.

Gdy myślę o naszych niedomaganiach ekonomicznych, o rozpatrywaniu w prasie różnorodnych dolegliwości przez publicystów przysięgłych i korespondentów-ochotników — żywo mi się przypomina niedźwiedź, który wielkim rykiem odpowiada na uderzenie szyszki, a milczy, gdy mu gałąź na kark się zwali. Niech-no grad przejdzie przez daną okolicę, wnet będziemy mieli długie korespondencye z zadziwiającą drobiazgowością, z wyliczeniem nietylko owiec pokaleczonych, kurcząt zabitych, szyb stłuczonych, ale nawet kłosów złamanych. W ten sposób powstają „straszliwe klęski," przynoszące straty... kilkanaście rubli. Obok tych długich sprawozdań z jaskrawymi tytułami czytamy skromne, parowierszowe doniesienia: „w powiecie X. panuje zaraza pyska lub racic u bydła," „w powiecie Y. pojawił się księgosusz," „w gubernii Z. czyni spustoszenia róża świńska." I tyle! Korespondencye o gradzie — to szyszka, drobne wiadomości o różnych epizootyach— to gałąź na karkach rolników, pokrywająca cieniem smutny i istotnie *straszliwy* obraz warunków. Owa zaraza świń (zwana pospolicie różą złośliwą, czyli czerwonką), w ostatnich latach wyrządziła szkody w jednej tylko gubernii warszawskiej na *trzydzieści tysięcy* rubli. Najbardziej srożyła się w r. 1893, tak dalece, że podano nawet środek, stosowany przeciwko księgosuszowi: zabijanie sztuk chorych i podejrzanych z odszkodowaniem. Gdy w Austryi szczepienie ochronne uznano oddawna jako środek skuteczny, przeciwdziałający zarazie i wprowadzono go obowiązkowo, u nas trzeba było aż epidemii, wyrządzającej wielkie klęski, ażeby o tym środku „pomyślano." Ale nietylko ta zaraza czyni spustoszenia ogromne. Podczas gdy Ameryka posiada olbrzymie fermy, poświęcone wyłącznie hodowli kurcząt, my nie mamy jednego gospodarstwa w kraju, które prowadziłoby hodowlę drobiu na wielką skalę, a jeżeli pomimo to liczne wagony jaj idą od nas za granicę, to tylko dzięki sprytowi i wytrwałości drobnych spekulantów, związanych w pewną organizacyę, którzy jeżdżą od wsi do wsi, chodzą od chaty do chaty i mozolnie zbierają towar. Nasi ziemianie, a raczej ich żony, nie traktują poważnie hodowli drobiu, jako gałęzi gospodarstwa, mogącej przynosić znaczne zyski, bo w obecnych warunkach jest to rzecz ryzykowna. Cholera kur, choroba wątrobiana, karbunkuł kurzy, dyfteryt i t. d. zmiatają całe stada ptactwa domowego, bez żadnych środków ratunku. Czy więc opłaci się prowadzić hodowlę? — Chyba tylko w zakresie potrzeb domowych. Nie dość tego. W każdem najskromniejszem gospodarstwie pomór inwentarza żywego bądź to skutkiem epidemii, bądź innych chorób, stanowi poważną rubrykę strat, niekiedy prowadzących do zupełnej ruiny ludzi ubogich. To też dziwić się nie można, że chłop bardziej lamentuje po stracie krowy, niż dziecka.

Mamy zatem klęskę cichą, jedną z przyczyn ruiny ziemian, z której wszakże większość nie zdaje sobie sprawy dokładnie. Jeżeli epidemia, dotykająca wyłącznie nierogaciznę, w jednej tylko gubernii przyniosła straty trzydzieści tysięcy, to jakież olbrzymie sumy w całem Królestwie Polskiem zabierają wogóle choroby śmiertelne w oborach, chlewach i stajniach! Gdybyśmy mieli odpowiednią organizacyę statystyczną, rubryka ta byłaby bardzo pouczająca. Możeby ona otworzyła nam oczy i dowiodła, że częstokroć owe nizkie ceny zboża, nad któremi płaczemy, mniejsze tworzą luki w budżetach ziemiańzkich, niż pomór inwentarza, pochłaniający setki i tysiące rubli z kapitału zakładowego, podczas gdy niepomyślne ceny produktów tworzą uszczerbek tylko w obrotowym.

Skądże wynika taki stan rzeczy? Dlaczego ludność rolna (zarówno szlachta, jak i włościanie) pozbawiona jest wszelkiego ratunku, podczas gdy hygiena w zakresie weterynaryjnym wszędzie na zachodzie Europy z dniem każdym czyni postępy?— Zjawisko to u nas jest tem dziwniejsze, że mamy sporo weterynarzów, którzy się uskarżają na brak pracy produkcyjnej i zyskownej. Posłuchajmy jednak skarg z drugiej strony i rozpatrzmy pole działalności owych fachowców. Weterynarz na wsi nie cieszy się powodzeniem i uznaniem, bo jest drogi i często niedbały. Za swoje wizyty każe więcej płacić, niż lekarz, a lekceważącem traktowaniem sprawy zraża klientelę. Przytem są miejscowości, gdzie o tych zbawcach życia zwierzęcego ludzie wiedzą tylko ze słyszenia. Jeżeli ziemianin ukształcony unika ich, to cóż mówić o chłopie? I tutaj, jak w poradach dla ludzi, woli on uciekać się do znachorów.

Ale chociażby nawet weterynarze znacznie zniżyli cenę swych porad i najgorliwiej spełniali obowiązki, nie byłoby to jeszcze skutecznem zaradzeniem złemu. Potrzebna tu bowiem jest szeroko rozgałęziona organizacya pomocy. Kiedy w roku 1892 zwołano w Warszawie zjazd weterynarzy z powodu jubileuszu p. Teofila Berezy, jednego z najstarszych pracowników na tem polu, ktoś przy sposobności podał projekt założenia Towarzystwa weterynaryjnego „dla rozwoju nauki i popierania jej wyznawców." Wniosek przyjęto z zapałem, ale zdaje się zamarł on w głębokich skrytkach mózgów, podnieconych uroczystością chwili, wraz z zakończeniem programu jubileuszowego, bo przez dwa lata nie słyszeliśmy już więcej najmniejszej wzmianki o tym pomyśle. Pomoc weterynaryjna pozostała nadal w tych samych warunkach, podczas gdy za granicą jest ona dźwignią ważnej gałęzi przemysłu. Skromna Szwajcarya wywozi rocznie produktów zwierzęcych na sumę 80 milionów fr., dzięki racyonalnej hodowli bydła w całem znaczeniu tego wyrazu, a więc między innemi — opartej na rzetelnej pomocy lekarskiej. Ten kraj malutki w r. 1890 liczył 540 weterynarzy, z których każdy przeciętnie działał na przestrzeni 76 kilometrów kwadratowych i rozciągał opiekę nad 2,247 sztukami bydła. Pomimo znacznej stosunkowo liczby, cieszą się oni niezłym bytem, uznaniem i wziętością. Ale obok działalności praktycznej, owi fachowcy zagraniczni mają swoją literaturę bogatą, pisma specyalne tudzież wszelkie środki badania i rozwoju nauki.

A u nas? — Podczas gdy wszelkie grupy fachowcow mają swoje ogniska i organy, mianowicie, lekarze — Towarzystwa (w Warszawie i na prowincyi), tudzież parę pism specyalnych, farmaceuci—również

Towarzystwo i organ, dalej: technicy, ogrodnicy, rzemieślnicy itd., podczas gdy nawet rzeźnicy myślą o własnej gazecie, weterynarya nasza dała zaledwie słaby znak życia w roku bieżącym dzięki p. H. Kotłubajowi, który opracował i wydał obszerny, wyczerpujący podręcznik, nierek lamowany przez sprawozdawców, usłużnych tylko dla bazgraczów, płodzących lub przerabiających bezmyślne farsy. W obecnym stanie rzeczy dzieło takie jest jedyną pomocą dla oświeconych hodowców wiejskich. I w tym wypadku daje się spostrzegać objaw znamienny. Kiedy pszczelarze, ogrodnicy itd. starają się ogłaszać dzieła w zakresie swej specyalności, weterynarze podobno przyjęli powyższy podręcznik niechętnie, jako współzawodnika. Jest to także jeden ze szczegółów, świadczących, iż weterynarya zajmuje u nas jeszcze najniższy szczebel, stoi po za granicami postępu i zorganizowanej pomocy. Uprawiacze tej niwy zachwaszczonej, w znacznej większości zrywają wszelką nić z nauką od chwili ukończenia studyów i otrzymania patentu, następnie ze ściśle określoną dawką swojej wiedzy fachowej, zamarynowanej na wieki, biorą się do praktyki i gdyby naraz, po latach kilku lub kilkunastu, przybył do nich jaki kolega z Zachodu i powiedział, że badania laboratoryjne ułatwiły możność leczenia tej lub innej choroby, dały środki skuteczniejszego zwalczania epidemii — otworzyliby szeroko oczy. Nie mają oni bowiem żadnego ogniska, przy którego świetle mogliby oglądać wyniki postępu naukowego, nie mają najskromniejszej pracowni, pomimo że rozwój weterynaryi, jak innych dziedzin wiedzy, głównie jest dziś oparty na bakteryologii. To też nic dziwnego, że w razie silnej epidemii są niezaradni, że zarówno chłop, jak i ziemianin oświecony chętnie słucha rad praktyków-znawców, czyli znachorów.

W weterynaryi, jak w medycynie, wielką rolę odgrywa hygiena, a zatem ważniejsze jest zapobieganie chorobom, niż ich leczenie, szczególnie w razach epidemii. Działalność atoli jednostek w tej mierze, chociażby najzdolniejszych, nie na wiele się przyda tam, gdzie chodzi o zbadanie dokładne warunków znacznej przestrzeni. Chcąc stworzyć odpowiednią stałą organizacyę, nie można liczyć wyłącznie na weterynarzy. Wszakże ta sprawa bardziej powinna obchodzić rolników. Dlaczego jednak ich sekcya w Warszawie nie poruszyła dotąd tak ważnej sprawy? Mówiono dużo o szkodnikach polnych, no i stworzono stowarzyszenie odpowiednie, gotowe do walki. Tymczasem gdy pomór bydła nierównie większe straty wyrządza, niż np. chrabąszcze lub gąsienice, interesowani milczą, a nawet projektują wielką hodowlę bydła rzeźnego, jak gdyby nie wiedząc, że obok wielu warunków nieprzyjaznych wybitne miejsce zajmuje brak stosownej pomocy zdrowotnej.

. Otóż jakkolwiek nie jestem radcą, podaję wszakże ziemianom naszym radę dla ich własnego dobra: Niech na jedno ze swych posiedzeń zaproszą wybitniejszych weterynarzy (między innymi uczestników obchodu jubileuszowego p. Berezy) i wspólnie z nimi obmyślą praktyczne podstawy nowego stowarzyszenia, którego zadaniem powinno być urządzenie laboratoryum dla badań bakteryologicznych, śledzenie wszelkich odkryć i ulepszeń w dziedzinie weterynaryi, zapoznawanie członków specyalistów z odpowiednią literaturą naukową; stworzenie własnego organu, któryby zamieszczał wszelkie najniezbędniejsze informacye, streszczał zdobycze wiedzy, podawał sprawozdania z samodzielnych badań i spostrzeżeń naszych specyalistów, wiadomości najdokładniejsze o przebiegu chorób we wszystkich zakątkach kraju, tudzież o warunkach, sprzyjających ich rozwojowi; wreszcie — wszelkie środki lecznicze-hygieniczne i wskazówki, gdzie je można nabyć. Obowiązkiem takiego Towarzystwa winno być jeszcze zbieranie dokładnych danych, w jakich punktach kraju weterynarze są najniezbędniejsi. Oczywiście takie szczegóły można gromadzić tylko za pomocą ziemian zainteresowanych, którzy także powinni być członkami stowarzyszenia i w zamian otrzymywać pewne udogodnienia w poradach i środkach leczniczych. Tylko taką drogą można dojść do pożądanego celu z korzyścią zarówno hodowców, jak i pracowników, czuwających nad hygieną ich inwentarza. Byłyby to podwaliny gospodarki hodowlanej, zmniejszające ryzyko, a więc wpływające na rozwój tej gałęzi produkcyi. Im zaś bardziej wzrastałaby ona, tem szersze otwierałoby się pole dla zyskownej i pożytecznej działalności powyższych pracowników. Gdyby hodowla bydła stała u nas na takim poziomie, jak w Szwajcaryi, to najmniej 1,600 weterynarzy w Królestwie Polskiem znalazłoby korzystną pracę, a kraj nie byłby, jak dziś, prawie bez pomocy w tej mierze, pomimo że spory zastęp młodzieży kształcącej się obiera zawód weterynaryjny.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Uchwała. Zanim pomówimy o sprawach cukrowniczych osobno, podajemy główną treść uchwały, która 17 listopada zapadła w Kijowie na posiedzeniu przedstawicieli biura syndykatu.

„Z dostarczonych przez fabryki danych o burakach do przerobienia, oraz o spodziewanej stąd ilości cukru, wynika, że ogólna cyfra produkcyi dosięgnie przeszło 33,000,000 pudów, z której na rynek wewnętrzny może wejść od 209 uczestników konwencyi jako ich norma 24.215,113 pudów i z 18 nie należących do syndykatu fabryk 2,616,640 p., czyli razem 26.831,753 pudy cukru. Cyfra—ta wobec znacznych zapasów w rękach handlarzy po dzień 13 września r. b., które powstały wskutek podniesionej w tym czasie akcyzy, i w związku z dwakroć większą (w porównaniu z d. 13 września 1893 r.) cyfrą remanentu w fabrykach—zabezpiecza niewątpliwie potrzeby rynku wewnętrznego, a nawet je przekracza.

Biorąc to pod uwagę, przedstawiciele syndykatu orzekli, że cały nadmiar produkcyi cukru po nad normę w kampanii roku 1894/95, nie wyłączając oznaczonych na III okres umowy norm dodatkowych, winien być wywieziony za granicę.

Ze względu, że na mocy § 2 umowy każdy uczestnik ma prawo wypuścić na rynek wewnętrzny tę tylko ilość cukru, jaką przewidują rozmiary normy i że wywóz nadmiaru powinien być załatwiony we właściwej porze, aby zapobiedz przepełnieniu rynku, postanowiono, iż każdy uczestnik umowy wywiezie najpóźniej do 27 lutego 1895 r. cały ten nadmiar produkcyi po nad normę, jaki wypadnie mu po dzień 13 lutego 1895 r., świadectwa zaś wywozu powinny być przedstawione w biurze syndykatu do d. 13 marca 1895 r.

Cukier, wytworzony po nad normę po dniu 13 lutego 1895 r., podlega również wywozowi po za granice państwa w terminie, jaki biuro później oznaczy.

Przedstawiciele zwracają w dalszym ciągu uwagę uczestników na konieczność ścisłego i akuratnego wykonania zaciągniętych na zasadzie umowy zobowiązań; wszelkie bowiem chybienie przeznaczonych dla wywozu terminów odbija się szkodliwie na rynku wewnętrznym. Dla uniknięcia tak niepożądanego zjawiska i obrony interesów tych uczestników umowy, którzy spełniają ściśle swe zobowiązania, przedstawiciele uprzedzają uczestników, że niewykonanie uchwały niniejszej i niestawienie się w terminie co do wywozu, uważane będzie za naruszenie umowy.

Równocześnie przedstawiciele zwracają się do tych uczestników konwencyi, którzy spóźnili się z wywiezieniem nadmiaru cukru z ubiegłej kampanii, aby pokryli swój niedobór wywozem cukru z normy tegorocznej i uchronili tem samem przedstawicieli od konieczności zastosowania środków, przewidzianych w § 18 umowy, w interesie wszystkich członków syndykatu.

— Na zapytanie jednego z kantorów Banku państwa, czy mogą wydawać zaliczenia bankowe na zastaw kartofli, złożonych w kopce, odpowiedziano przychylnie. Wysokość zaliczeń oznaczono jak od niewymłóconego zboża: 40% miejscowej ceny targowej. Ubezpieczenie zastawu nie jest obowiązkowe.

KRONIKA.

Doniesienia urzędowe. Ogłoszono cyrkularz ministra spraw wewnętrznych z dn. 15-go września r. b. oparty na podstawie Najwyżej zatwierdzonej w dn. 16-ym lipca r. b. uchwały komitetu ministrów, wydanej po poprzedniem porozumieniu się z oberprokuratorem Najświętszego Synodu, na mocy której sektę sztund uznano za jedną z najszkodliwszych w stosunkach kościelnych i państwowych i zabroniono jej wyznawcom zebrań towarzyskich i w celach modlitwy.

Sprawy społeczne. Członkowie deputacyi warszawskiej dla upamiętnienia uroczystego dnia ślubu Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa, ofiarowali 30,000 rs. dla utworzenia w warszawskim szpitalu dziecięcym oddziału imienia Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani Aleksandry Teodorówny na 10 łóżek.

— Dn. 27 listopada na mocy Najwyższego Manifestu z więzień warszawskich uwolniono 340 aresztantów, oprócz skazanych do ciężkich robót lub na zesłanie, którym potrącono trzecią część i zaliczono do kary już odcierpianej.

Sądy. Ze Lwowa telegrafują: Sąd przysięgłych skazał na karę śmierci włościankę Paraskę Gnapową, tudzież Essiga i Manna, których pierwsza wynajęła dla zamordowania swego męża.

— W procesie o zabójstwo ekonoma Twardyewicza skazano 30 letniego chłopa, Wojtowicza na 7 lat, a za oszustwa na 10 lat ciężkiego więzienia. Sześć osób skazano na karę więzienia od 2 do 6-ciu lat; osiem uwolniono.

Szkoły. Na uniwersytecie w Getyndze otwarta będzie katedra dla elektrolizy.

— Przy uniwersytecie jurjewskim ma powstać wydział agronomiczny.

Koleje i komunikacye. Dla udogodnienia podróży pasażerom na kolejach skarbowych, departament postanowił wprowadzić sprzed iż miejsc sypialnych w wagonach wszystkich trzech klas, przyczem oprócz miejsca do spoczynku, pasażerowie otrzymywać będą w wagonach I-ej i II-ej klas—bieliznę do posłania, poduszkę i kołdrę, a w III-ej — tylko poduszkę. Opłata pobierana będzie od liczby nocy, spędzonych w wagonie: w I-ej kl. za noc—2 rs. 50 kop., za dwie—4 rs. 50 kop., za trzy—5 rs. 75 kop. i t. e.; w II-ej kl. za noc—2 rs., za dwie—3 rs. 50 kop., za trzy—4 rs. 50 kop.; w III-ej kl. za noc—1 rs. 50 kop., za dwie—2 rs. 50 kop. za trzy—3 rs. 50 kop. itd.

Gospodarka miejska. Według zapewnień *Kur. warsz.*, Towarzystwo desauskie wobec zniżenia cła za węgiel zagraniczny, sprowadzany do Warszawy dla produkcyi gazu, zmniejszy opłaty od 1 stycznia r. p., tj. zamiast 2 rs. 10 kop. od 1,000 stóp sześciennych gazu, zużywanego przez spożywców prywatnych i 1 rs. 25 k. od miasta, przywrócone będą ceny kontraktowane: 2 rs. i 1 rs. 15 k. Zniżka ta uczyni dla całego miasta 60,000 rs. rocznie.

Posiedzenia. W sekcyi handlowej p. S. Kempner miał odczyt o spekulowaniu akcyami. Następnie rozprawiano o znaczeniu wystawy w Niżnim Nowgorodzie.

— Na posiedzeniu Towarzystwa ogrodniczego między innemi podano do wiadomości, iż instytucya ta przeznaczy na wiosnę kilkaset porcyi nasion kapusty, marchwi, pietruszki i buraków dla bezpłatnego rozdania włościanom za pośrednictwem *Zorzy*.

Wypadki. W Antwerpii zdarzył się wielki wybuch w fabryce dynamitowej; 60 osób zginęło. Wiele domów uszkodzonych.

— Z Londynu telegrafują, iż skutkiem gęstej mgły na rzece Aron koło Bristolu, zetknęło się osiem wielkich parowców i okrętów żaglowych.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Ноября 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka Nr. 8.